Zet — sztuka, kultura, sprawy społeczne

ROK V NR. 11 (103)

DWUTYGODNIK POD REDAKCJĄ JERZEGO BRAUNA

WARSZAWA, DNIA 1 LISTOPADA 1936 R.

CENA 50 GR.

Sąd ostateczny...

Żyjemy w epoce sądu ostatecznego nad całym dorobkiem cywilizacyjnym ludzkości. Proszę nie rozumieć tego jako alegorji poetyckiej Sprawa jest realna i dotyczy rzeczywistych, konkretnych procesów, odbywających się w łonie współczesnych europejskich narodów. Są tacy, którzy mówią, że wyolbrzymianie skali dzisiejszych wydarzeń jest tylko złudzeniem perspektywicznem, że historja się powtarza w perjodach cyklicznych i to co nam się dziś wydaje niepowtarzalnem i jedynem, bywało i przemijało już nieraz. Ale takie rozumowanie jest papierową łatwizną. Kto umie myśleć myśleć w kategorjach historjozoficznych, kto zna dobrze dotychczasowy przebieg procesu dziejowego w całej jego rozległości i w jego najdonioślejszych etapach, ten musi stwierdzić, że charakter ogólny obecnego przesilenia cywilizacyjnego jest bez precedensu i wynik jego zdecyduje niechybnie o całej przyszłości naszego gatunku.

Zarówno analiza świadomości zbiorowej Europy XX-go wieku, jak obserwacja całokształtu wytworzonych już przez ludzkość instytucyj, form społecznych i idej, świadczy wyraźnie, że dalszy ich rozwój jest już — w porządku naturalnym dziejów — niemożliwy, i że zostały już wyczerpane wszelkie możliwe kombinacje prawd znanych, na jakie mogła się zdobyć inwencja ludzka, bez jakiegoś piorunującego wyłamania się poza kredowe koło swej własnej potencji twórczej.

Myliłby się, ktoby sądził, że spenglerowski „Untergang des Abendlandes" byłby tylko epizodem w dziejach tej planety, że kultura rasy białej, jako kreacja duchowa już w sobie wyczerpana i zamknięta, może i musi być zastąpiona przez jakiś apokaliptyczny zalew nowych elementów, przez erę ekspanzji rasy żółtej, czy coś w tym rodzaju. Myśmy się wspięli na takie szczyty, że nas tamci wszyscy nie wnet dościgną, a problemy, jakie napotkała Europa na tem zawrotnem piętrze swoich dziejów, mogą być rozwiązane tylko przez nas. Niepowodzenie Europy równać się będzie w tych warunkach upadkowi białego człowieka, zaś upadek białego człowieka oznacza katastrofę duchową ludzkości na wszystkich kontynentach, pod każdą szerokością geograficzną.

Nowe barbarzyństwo czai się tedy bardzo blisko, tuż za załomem naszego wieku. Gdyby ktoś obdarzony umysłem możliwie najbardziej syntetycznym umiał ogarnąć wszystkość nieprzeliczalną idej, pojęć, norm, systemów kulturalnych, kreacyj duchowych i materjalnych dokonanych przez filozofję, religję, nauki, sztuki, prawo, system obyczajowy i ustrój społeczno - gospodarczy naszego kręgu kulturowego, dostałby wprost zawrotu głowy i nie chciałby uwierzyć, że był naprawdę możliwy ten niebywały kosmiczny eksperyment, ten gigantyczny wysiłek myśli i woli, któremu na imię: Europa.

Stoimy w czasie i miejscu przedziwnym, w przedsionku *nowego widzenia rzeczywistości*, u samych wrót tej ery, którą prorocy i poeci nazwali Królestwem Bożem na ziemi. Ale oddziela nas odeń malowana w obłoki i błyskawice zasłona: Sąd Ostateczny. Na tej płaszczyźnie, gdzie jesteśmy obecnie, nie da się już wytworzyć nic nowego. Wszystko jest gotowe, materjały budowlane są już przysposobione. Trzeba tylko generalnej oceny całego dorobku przeszłości, trzeba jasnej decyzji, co było złe a co dobre, co z istniejących już wartości należy zachować a co odrzucić.

Główne cele człowieczeństwa, postulowane przez samą jego naturę, są już wykrystalizowane: człowiek posiada jasne wyobrażenie swego celu przyrodzonego, którym jest materjalny dobrobyt, jak i celu nadprzyrodzonego, którym jest nieśmiertelność osobowa, zbawienie wieczne. Idea sprawiedliwości, reprezentowana przez państwo, zarówno jak idea pewności naukowej, mająca za przedmiot pozyskanie maksimum wiedzy, do jakiej rozum ludzki dojść może, jest już dorobkiem powszechnym. Z kombinacji tych prawd mogą jeszcze powstawać światopoglądy, ruchy i partje polityczne, walczące o wolność, chleb dla wszystkich, wszechwładzę państwa, klasę, naród, czy jedność ludzkości, ale to wszystko mieści się doskonale w dotychczasowym repertuarze haseł i programów. Może nastąpić jeszcze jedno, ostateczne zjakościowanie tych zasad: ich podział na złe i dobre, fałszywe i prawdziwe. Ale to jest już granica tego, co może wyprodukować genjusz XX-go wieku. I ta granica będąca końcem, „wczoraj", jest już zarazem początkiem i polem tego, co nas czeka: *Sądu ostatecznego*.

Ktoś musi dokonać wyboru i syntezy wartości wytworzonych, ktoś musi wykryć i potępić zło, ukryte w jądrze wszystkich fałszywych programów i systemów, a zatwierdzić i spotęgować dobro, ktoś musi się zdobyć na generalny osąd i rozgraniczenie zasad umysłowych i etycznych, ktoś musi powołać narody do reform uniwersalnych, wykluczających raz na zawsze to co nam dziś grozi: katastrofę naszej kultury i zalew powtórnego barbarzyństwa.

Może to uczynić tylko jedna siła: chrystjanizm integralny, i tylko jeden naród: Polska. Ma ona do tego prawo i ma ona do wypełnienia ten obowiązek na mocy swej predestynacji dziejowej i na mocy swego posłannictwa. Predestynację tę wyznacza i określa samo opatrznościowe postawienie Polski pośrodku i na pograniczu dwu największych przesłanek, którym na imię: Rzym i Moskwa; posłannictwo zaś rozpoznali oddawna najwięksi jej filozofowie, mężowie stanu i poeci.

Lecz jakież ma ona kryterja, jakież ma podstawy rozumowe do takiego rozstrzygającego sądu nad dorobkiem cywilizacyjnym Europy? *Oto posiada je Polska w postaci swej idei centralnej: rozum twórczego, którą przynosi jej najwyższa kreacja duchowa: filozofja absolutna Hoene-Wrońskiego, stanowiąca moment kulminacyjny całego rozwoju postępowego myśli ludzkiej.*

Z perspektywy jedni szczytowej religji i filozofji, z perspektywy tożsamości końcowej prawdy i dobra, z perspektywy celu ostatecznego historji, jakim jest samostworzenie się człowieka i ludzkości, Polska osądzić może idee, zasady, programy i światopoglądy, które stanowią dziś siły motoryczne współczesnych procesów społecznych i politycznych.

Nie idzie tu już o połowiczne rozstrzygnięcia, lecz o definitywne zdemaskowanie fałszu, wiodącego ku zagładzie Europę, o rozwiązanie kardynalnych problemów ustrojowych we wszystkich dziedzinach życia. Oto jest *mit dziejowy* Polski.

Kto tego nie chce czy nie umie zrozumieć, osądzi sam siebie, w myśl groźnego ostrzeżenia Pisma Św.: „Zważonyś na szali i znalezionyś lekkim".

Czekamy...

W sławetnym organie p. Rzymowskiego „Kurjerze Porannym" ukazało się oświadczenie, będące reasumpcją uchwał plenum Zarządu Głównego Z. N. P. Czytamy w nim m. in., że Zarząd Główny Z N. P. wyraża prezydjum i prezesowi pełne uznanie za dotychczasową działalność, t zn. dziękuje za „już" a prosi o „jeszcze". Czytamy tam również, że Zarząd Główny Z. N. P. potępia działalność sił, których sprężyny znajdują się poza granicami państwa. Czytamy wreszcie, że Zarząd Główny Z. N. P. uchwala pociągnąć do odpowiedzialności karnej Jerzego Brauna, red. „Zetu", *za obrazę Z. N. P.*, a upoważnia kolegów: Frysza, Nowickiego i Podurgiela do pociągnięcia do odpowiedzialności Antoniego Madeja za *oszczerstwa* względem nich.

Bardzo to ślicznie, że Zarząd Z. N. P. wyraził uznanie samemu sobie, bo wiara w siebie jest rzeczą godną pochwały. W nieco kłopotliwej sprzeczności z uchwałą powyższą znajduje się potępienie działalności międzynarodówek, a więc i masonerji, której wyraźną ekspozyturą ideologiczną są ci, co *rządzą* naprawdę w Zarządzie Z. N. P. Ale i to da się jakoś zaklajstrować.

Gorzej jest z tym ustępem, w którym Zarząd uchwala „pociągnąć" oraz „upoważnić do pociągnięcia". Okazuje się bowiem, że J. Braun ma być pozwany przez sąd nie za wydrukowanie w swem piśmie konkretnych zarzutów, lecz za *obrazę Z. N. P.*, którego n. b. nigdy nie obrażał, ograniczając się do zaatakowania paru jednostek, plamiących honor tej wielkiej i pożytecznej organizacji nauczycielskiej. Okazuje się również, że A. Madej ma być oskarżony nie o istotne zarzuty, postawione „machowszczyźnie" i Zarządowi Z. N. P., lecz o „oszczerstwo" względem „małych rybek", które poczuły się dotknięte niejako prywatnie. Gdzie więc podziała się „machowszczyzna" dlaczego nie obraził się jej wódz i dlaczego zostały usunięte poza nawias owe zasadnicze zarzuty p. Madeja, dotyczące bezideowości, cynizmu i niewłaściwej gospodarki kliki, usadowionej w Zarządzie Z. N. P.?

Poco jednak wdawać się w te nazbyt drażliwe pytania? Lepiej poprostu wyrazić radość, że sprawa ruszyła wreszcie z martwego punktu i pójdzie tam, gdzie już dawno chciał ją widzieć p. Madej, gdy wzywał do pociągnięcia go przed sąd Rzeczypospolitej.

Jest w toku obecnie inny proces, między Zarządem Gł. Z. N. P. a krakowskim I. K. C., w sprawie agitacji bolszewickiej w „Płomyku". Nie wolno przesądzać decyzyj sądowych, jest jednak oczywiste, że materjał dowodowy przedstawiony na rozprawie, obciąża w przykry sposób redakcję „Płomyka". Myśmy w tej aferze „płomykowej" nie zabierali głosu. Proces między Zarządem Z. N. P. z red. „Zetu" i z A. Madejem oświetli natomiast inną dziedzinę działalności p. Machowskiego i jego towarzyszy. W obydwu wypadkach Zarząd Główny Z. N. P. jest stroną skarżącą, jest więc w tem prawdziwa Nemezis, że grzebie on się swemi własnemi rękami.

To co zostanie powiedziane na procesie, wystarczy zapewne, by natchnąć do energicznej akcji uzdrawiającej rzesze polskiego nauczycielstwa, zgrupowane w szeregach Z. N. P. Ale nie chodzi nam o samą tylko negację, o usunięcie źródeł zła, o czystość atmosfery w największem zrzeszeniu wychowawców młodego pokolenia, lecz również — i to w pierwszym rzędzie — o przebudowę ideową tej potężnej i ważnej organizacji, która powinna być w życiu narodu polskiego dźwignią kultury i prawdziwego postępu, a nie narzędziem szkodliwych mafij.

Toteż witamy z całą satysfakcją decyzję Zarządu Głównego, jako krok naprzód w realizacji naszego pozytywnego, obywatelskiego planu. Niechże się ten pożyteczny proces odbędzie jaknajprędzej.

Czekamy...

100-tny numer „Prosto z Mostu"

Rzadki i uroczysty moment: pismo literackie w Polsce dociąga do setki numerów i odważnie napoczyna drugą. W Polsce analfabetów i kompromitująco niskiego stanu czytelnictwa, w Polsce efemeryd wydawniczych, gdzie pisma literackie powstają i utrzymują się tylko heroizmem jednostek lub subsydjami państwowemi, w Polsce, gdzie powieści wydaje się w zawrotnym nakładzie 1,000 — 3,000 egz., a tomiki poezji w 100 egz., kupowanych i czytanych n. b tylko przez poetów, jubileusze takie są zjawiskiem cennem i wyjątkowem. Tembardziej gdy się czyta w nagłówku 100-nego numeru: „43 autorów — 24 strony—12.000 nakładu".

Był taki okres, jeszcze przed paru laty, gdy monopol reprezentacji polskiej twórczości kulturalnej dzierżyły mocno w swych rękach „Wiadomości Literackie", przedsiębiorstwo jaknajmniej do tej misji zaszczytnej powołane. Dziś, Bogu dzięki, jest lepiej. Istnieje szereg pism polskiej prowenjencji ideowej, pism o ambicjach poważnych i o silnej dynamice rozwoju. Nie trzeba uzasadniać, jak wielkie to ma znaczenie dla wzmożenia pulsacji naszego życia kulturalnego, już choćby przez to, że stwarza platformę wypowiedzi dla mnogiej falangi piór, które wogóle nie miały gdzie pisać, lub też zmuszone były zamieszczać swe prace w prasie, nie odpowiadającej im ideowo.

Najszerszą taką platformą jest bez wątpienia „Prosto z Mostu", pismo skupiające pisarzy od najstarszego do najmłodszego pokolenia. Doskonałem odzwierciadleniem tej roli, jaką spełnia „Prosto z Mostu" w naszem życiu literackiem i intelektualnem, jest właśnie ostatni, 100-tny numer, tak bogaty w treść i tak różnorodny.

Na specjalną uwagę zasługuje w tym numerze artykuł red. Stanisława Piaseckiego p. t. „Zadanie, które nas czeka", omawiający rolę kulturalną i misję historyczną, jaką pełnić powinna Polska w Europie Środkowej.

„Żeby współzawodniczyć z wielkiemi narodami Zachodu... trzeba umieć stworzyć bazę dla swej kultury, zbudować jej stolicę na Środkową Europę, a nie radować się, że się jest... małym Paryżem". Tego dotąd w Polsce nie rozumiano. W młodszem pokoleniu sprawa ta wygląda jednak inaczej. Tutaj „rozumie się konieczność Polski, jako ośrodka wielkiego bloku Europy Środkowej, opartego o Bałtyk, Adrjatyk i Morze Czarne". Trzeba jednak śpieszyć się, bo narody naddunajskie i bałkańskie, w braku inicjatywy polskiej, zaczynają przejmować się hasłami, idącemi z Berlina. „Nie umieją znaleźć klucza do idei polskiej Bo nikt jej zewnątrz świadomie nie reprezentuje, nikt z nią do nich nie idzie. A hitleryzm już jest i już działa..."

Polska-Przedmurze czy Polska Prawdy

P. Bączkowski [1]) podjął dyskusję ze mną na tak szerokiej platformie, że — chcąc uniknąć zbytniej rozlewności i wielowarstwowości poruszonych problemów — zmuszony jestem usystematyzować całokształt zagadnienia, dzieląc moją odpowiedź na dwie zasadnicze części: w pierwszej zreasumuję i poddam krytyce jego zarzuty (łączące się ściśle z kontr-tezami jego światopoglądu), w drugiej wyjaśnię, na czem bazuję odmienny mój pogląd na misję historyczną Polski. Zdaję sobie sprawę, że nie jest to jeszcze wystarczające, że pozostanie między nami wiele kwestyj niezałatwionych, gdyż temat jest zbyt rozległy, by go wyczerpać tutaj bez reszty; mam jednak nadzieję, że będzie jeszcze niejedna okazja do dalszych rozwinięć i głębszych uzasadnień.

P. Bączkowski — mówiąc krótko — obawia się mej idei „Polski nad światem", t. j. Polski wydźwigniętej na stanowisko nadrzędne i rozwiązującej, przy pomocy wrońskizmu, największe problematy współczesności, obawia się, gdyż idea ta, choć wielka i piękna (jak sam przyznaje), jest zbyt utopijna aby miała szanse realizacji. W przeciwieństwie do niej wysuwa on — nie negując tamtych, wygórowanych planów historjotwórczych w aspekcie dalekiej przyszłości — ideę skromniejszą, lecz i tak na nasze warunki dość maksymalistyczną, Polski - Przedmurza.

W tej perspektywie, kontr-tezy (i zarzuty) Bączkowskiego dadzą się uszykować w sposób następujący:

1) Odwrócenie się narodu od swych źródeł cywilizacyjnych i naturalnych dyspozycyj dziejowych grozi mu długotrwałem, ekspiacyjnem błądzeniem w roli „syna marnotrawnego" (przykłady: Rosja, a także i Niemcy). Polska należy do Zachodu, niech więc nie myśli o syntezach nadrzędnych Zachodu ze Wschodem, bo utraci busolę kulturalną i polityczną.

2) Tworzenie jakiejś nowej, trzeciej cywilizacji może się skończyć tragicznie, gdyż pozbawimy się oparcia o wytrawne wartości kultury zachodniej, i zmuszeni zaczynać wszystko od początku, nie udźwigniemy tak olbrzymich aspiracyj, ulegniemy agresji silniejszego Wschodu, lub wyczerpiemy się całkowicie w budowie fundamentów, podczas gdy owoce naszego nadludzkiego trudu zbierać będą sąsiedzi.

3) Nie możemy walczyć jednocześnie z komunizmem i faszyzmem, bo faszyzm to Europa a komunizm to Azja, więc postawa antyfaszystowska = antyeuropejska. Zanim stworzymy coś trzeciego już nas wypadki wciągną do walki, zdecydujmy się tedy zawczasu iść z faszyzmem.

4) Istnieje niepokonalna przeciwstawność między Polską dzisiejszą, zmuszoną do polityki realnej i do bezzwłocznych decyzyj, a Polską przyszłości, idealną, pomyślaną jako twórca nowej cywilizacji. Ta pierwsza winna się liczyć z rzeczywistością — z wojną Zachodu i Moskwy, która właściwie już się toczy i stanąć na czele sił antymoskiewskich.

5) Wrońskizm, jako szczytowa kreacja polskiej myśli filozoficznej, jest i będzie wartością ogólnoludzką, jak dzieło św. Tomasza, Newtona, czy Goethego, lecz nie może być treścią polskiej doktryny politycznej, polskiego imperjalizmu; jest na to zbyt uniwersalistyczny, podczas gdy dziś nie sposób skojarzyć uniwersalizm i narodowy regjonalizm; tak zresztą było zawsze, że szczyty myśli ludzkiej stawały się dorobkiem wszystkich, a nie posłannictwem jednego tylko narodu.

6) Polska powinna ograniczyć się do ścisłej symbiozy z zachodnim kręgiem kulturowym, scalać duchowo Europę i poprowadzić ją do wielkiej krucjaty na Wschód.

7) Ideą posłanniczą Polski dzisiejszej winna być tedy unowocześniona idea Polski - Przedmurza, realizującej plan prometejski.

Otóż niewątpliwie Polska należy do świata duchowego cywilizacji zachodniej, choćby dla tego, że jest państwem rzymsko-katolickiem, a swoją myśl filozoficzną nawiązywała do tradycyj klasycznych i scholastycznych, oraz do doktryn francuskich czy niemieckich. Ale podział globalny na Wschód i Zachód jest dziś już raczej schematem upraszczającym, niż dorównanym obrazem rzeczywistości kulturo-historycznej, jak to wykażę w części drugiej tego artykułu. Obawiam się, że sam przyczyniłem się do tej symplifikacji, gdyż wizja „Polski pomiędzy Wschodem a Zachodem" jest moim tworem i rzucona została z „Zetu"; była ona jednak zawsze uważana przez nas za narzędzie orjentacji, a nie za aksjomat, przyjmowany bezkrytycznie na początku wszystkich rozumowań. Już choćby geograficznie trudno udowodnić, że Polska należy do Zachodu, bo gdy przyjmiemy rozgraniczenie Małaniuka na step eurazyjski, jako ukształtowanie naturalne Europy Wschodniej, z jej charakterem wyrównującym, niwelacyjnym, oraz na bogato rozczłonkowane i zróżnicowane ukształtowanie Europy Zachodniej, z jej górami i dolinami, półwyspami i basenami geologicznymi, indywidualizującymi narody, to terytorjum Polski okaże się przedłużeniem płyty czarnomorskiej, otwartem na oścież przeciągom od Wschodu Jest tedy widoczne, z tych i innych perspektyw, że Polska jest clementem neutralnym, pośrodkowym i w rękach idei nadrzędnej stanowić może miecz mocno obosieczny.

Utożsamianie kultury zachodniej z romańską (łacińską), jest nieuzasadnione, wobec oczywistego, potężnego udziału w niej pierwiastków germańskich (Anglja, Niemcy, Austrja, Holandja, Skandynawja i t. d.). Z tego względu i przykład Niemiec, jako „narodu marnotrawnego" jest niezbyt szczęśliwy; zarówno dzieło Lutra, jak wielka metafizyka i sztuka niemiecka okresu romantycznego przynależą organicznie do „Europy", czyli do kultury zachodniej, na której powstanie złożyło się przecież wiele epok historycznych i różnorodnych, oryginalnych kreacyj. Klęska Niemiec w wojnie światowej była uwarunkowana czem innem; zaś co do nacjonal-socjalizmu, to gdzie go zaliczyć ostatecznie, skoro Bączkowski raz go uważa za grzech przeciw Europie, raz za ruch faszystowski, a więc znowuż integralnie „europejski". (Oto przykład, z jaką komplikacją mamy tu do czynienia i jak niebezpiecznie jest upraszczać historję).

Przykład z odwróceniem się Rosji od Azji za Piotra Wielkiego jest naogół trafny, nie znaczy to jednak, że komunizm wepchnął ją na właściwą drogę, raczej będzie on nową jej katastrofą, mimo swego pozornie rdzennego ruso - mongolizmu, zaś tendencje naturalne Rosji reprezentować będzie emigracyjna szkoła eurazjatycka. Ale jeżeli dr. Chara - Dawan ma rację, że Rosja popiotrowa zgubiła swą busolę historyczną, to z równą słusznością wolno twierdzić, że Polska dzisiejsza, rządzona przez „sanację" i regime wojskowy odwróciła się od swych źródeł cywilizacyjnych, budując obce duchowi polskiemu państwo militarno - policyjne, będące mieszanką pruskiego „drillu" i rosyjskiego biurokratyzmu, a w niczem nie nawiązujące do tradycyj jagiellońskich i mesjanicznych.

Tworzenie nowej cywilizacji, czy raczej kultury, byłoby utopją, gdyby te dwie już istniejące: zachodnia i wschodnia (że zgodzę się tymczasem na to uproszczenie) były wystarczające, gdyby wyrażały całkowicie pełnię europejskich możliwości kulturotwórczych i osiągnęły poszukiwany ideał duchowy, który pobudza ludzkość do ustawicznego wysiłku. W takim wypadku najwyższy problemat dziejów sprowadzałby się istotnie do tego, czy w walce ostatecznej zwycięży kultura romano - germańska czy rosyjsko - eurazjatycka. Ale tak nie jest: dotychczasowy wysiłek kulturalny ludów zachodnich nie rozwiązał bynajmniej podstawowych zagadnień umysłowych i religijno - moralnych, społecznych i polityczno - prawnych, które sobie postawił genjusz twórczy Europy; przeciwnie, u schyłku swych prac herkulesowych ujrzał przed sobą takie apokaliptyczne napiętrzenie problemów, że doznał zawrotu głowy, — nie mówiąc już o tem, że to on sam wyprodukował (we Francji i Niemczech XIX w.) tego Golema rewolucji socjalnej, który się teraz przyoblókł w ciało Rosji i grozi mu zniszczeniem. Gdyby Bączkowski twierdził uparcie, że nie pozostaje już nic istotnego do zrobienia, a trzeba tylko iść *z tem co jest* na podbój Wschodu, zająłby postawę zdecydowanie statyczną i wsteczną, zaprzeczając twórczy dynamizm dziejów. Jeśli zaś zgodzi się ze mną, że tamte kultury nie są czemś definitywnem, musi też przyznać, że byłoby to ze strony Polski tchórzostwem i dowodem zupełnej impotencji, uchylić się od trudu i obowiązku tworzenia kultury nowej, zwłaszcza, że ma ona wszelkie warunki, by misji tej dopełnić.

Prawda, że to poryw olbrzymi i zuchwały, ale bynajmniej nie ponad siły. Nie potrzebujemy się przytem pozbawiać oparcia o zasoby kultury zachodnio - europejskiej, przeciwnie, winniśmy zreasumować i wchłonąć cały jej dorobek pozytywny i na tej bazie dopiero budować wyższe piętro. Zresztą doktryna Hoene - Wrońskiego — podobnie jak inne wielkie systemy filozofji polskiej — spełnia ten warunek, pozostaje bowiem w łączności organicznej z całym światem myśli europejskiej i nie odrzuca żadnej z wytworzonych przez nią wartości.

Antynomji: faszyzm - komunizm, nie można redukować do antynomji: Europa — Azja. Geografja czy rasa to tylko jedne z wielu czynników warunkujących pojawienie się i charakter prądów duchowych. Tu znowuż muszę ostrzec: nie upraszczajmy historjozofji. Byłby to nieopatrznie pogański punkt widzenia, wyszukiwać tak płytkie determinanty idej i światopoglądów współczesnych; doktryna Chrystusowa oddawna już przesunęła punkt ciężkości spraw boskich i ludzkich w dziedzinę wolnej woli, twórczych aktów ducha i prymatu transcendencji. Zapewne: żyjemy na planecie i punktem wyjścia ludzkich dziejów są warunki geograficzne, wpływające w dużej mierze na dyspozycje psychiczne i temperamenty ludów różnych okolic globu; podobnie i biogenetyczne determinanty przynależności rasowej nie są bez znaczenia. Ale prócz miejsca, *czas* jest potężnym i dominującym współczynnikiem dziejów; a oprócz cech dziedzicznych organizmu ludzkiego, *duch*, podmiot, rozum wolny i samorzutny wywiera chyba wpływ na historyczne transformacje kultur i różnic światopoglądowych. Nie powracajmy wciąż na parter, gdy jesteśmy już na piątem piętrze. Historja jest kosmosem myśli i czynów. Ideje nakładają się na ideje, kreacje kulturalne i czyny zbiorowe nawarstwiają się jedne na drugie i w tem pięciu się wzwyż po stopniach wieży, jesteśmy już daleko od podłoża bio-geograficznego, w które wmurowane są fundamenty dziejów. Aby określić dobrze, czem jest faszyzm i komunizm, trzeba zbadać nie rozmieszczenie geograficzne ras i narodów, lecz kolejne następstwo koncepcyj prawnych, idej polityczno-ustrojowych, doktryn moralno-religijnych i systemów filozoficznych, bez których uprzedniości te nowe, skomplikowane twory zbłąkanego na manowce ducha ludzkiego nie dałyby się nawet pomyśleć. Gdyby nie powstał kiedyś chrystjanizm, doktryna boskiego Logosu, grzechu i odkupienia, łaski, zasługi i zbawienia, nie pojawiłby się też komunizm, pomyślany przez swych twórców jako integralny *antychrystjanizm;* gdyby rewolucja francuska nie zburzyła autorytetu władzy, ustanawiając system nieodpowiedzialnej demokracji parlamentarnej, nie byłoby mowy o doktrynie wodzostwa plus „gerarchia, competenza, sacrifizio", jaką jest faszyzm. Komunizm i faszyzm są w równej mierze tworem Europy i można conajwyżej mówić o podatności wschodniego kręgu kulturowego na przyjęcie pierwszej doktryny a zachodniego na przyjęcie drugiej. Ale zarówno komunizm jak faszyzm są produktami Europy chorej, uwiedzionej przez fałszywą ideę postępu, przyczem zbłąkanie to jest następstwem *antynomji społecznej*, jaka rozdarła Europę (i ludzkość) na dwa odmienne typy psychiczne i obozy polityczno-socjalne. Kto nie zrozumiał istoty antynomji społecznej, fenomenu możliwego dopiero na tym stopniu rozwoju dziejowego, na jakim my się dziś znajdujemy, nie odpowie nigdy na pytanie czem jest komunizm i faszyzm. Gdyby antynomja ta dała się sprowadzić do przeciwieństwa: Azja — Europa, rzecz naturalna, że Polska musiałaby stanąć bez wahania po stronie faszyzmu. Skoro jednak mamy tu do czynienia z problematem o wiele wyższej rangi, z upiorem epoki, *antynomją ukrytą w rdzeniu samego ludzkiego rozumu*, jedyny ratunek i wyjście z niej może być tylko w rozwiązaniu tej antynomji przez stworzenie idei nadrzędnej. To problem naczelny i posłannictwo Polski współczesnej.

Gdybyśmy stanęli na gruncie dojrzanej przez Bączkowskiego antynomji między Polską dzisiejszą a Polską przyszłości, zabrnęlibyśmy w myślową matnię, zawsze bowiem będzie jakaś teraźniejszość, ze swymi problemami z pierwszego planu, domagającymi się natychmiastowych decyzyj i nigdy też nie byłoby czasu na zakreślenie dalekich celów i perspektyw. Czy można sobie wyobrazić coś bardziej żałosnego, jak widok takiego narodu, popychanego od ściany do ściany przez zmienne konjunktury teraźniejszości? Rozumie się samo przez się, że aktualność ma też swoje prawa i musi być jakaś harmonijna współpraca między taktykiem politycznym a dalekowidzącym mężem stanu. Ale te decyzje bezpośrednie, wymuszone przez konieczności życiowe, winny być podporządkowywane coraz bardziej ogólnemu kierunkowi dziejowemu, wytyczonemu sobie przez naród podług określenia swej misji imperalnej. Tu właśnie rola Ciała Kierowniczego, które ustala kierunek i buduje plan, nie mając bezpośredniego wpływu na ośrodek woli państwowo - twórczej, który ma zawsze swobodę takiej decyzji, jaką w danej chwili uzna za wskazaną. Ja nie przesądzam tego wcale, że konieczność polityczna zmusi nas stanąć któregoś dnia po tej lub tamtej stronie barykady, podkreślam tylko przejściowość i przypadkowość tych konjunktur w stosunku do zasadniczego planu posłanniczego Polski, który jest warunkiem jej wielkości mocarstwowej. (Zaznaczam jeszcze, że ta Polska przyszłości, budująca nową cywilizację, nie jest wyidealizowaną wizją nadobłoczną, bo ta nowa cywilizacja jest równą koniecznością dziejową, jak była nią wojna światowa i *albo ktoś ją stworzy, albo ludzkość zginie)*.

Pisze Bączkowski: „Duch Wrońskiego obejmować będzie swemi skrzydłami i Europę i Azję, duch mówiący językiem *człowieka*"... „wrońskizm to coś, co będzie służyć dla całego świata, to wielkość uniwersalna. Hoene-Wroński to nowożytny Doctor Angelicus, co wielkość Polski też gruntować będzie, ale w stopniu takim samym, jak i narodowości sąsiednich. Już dziś Francja ma większe korzyści z Wrońskiego niż Polska (wynalazek tanku lub po francusku wydane dzieła Warrain'a)". Bardzo to słuszne, bo dzieło Wrońskiego jest rozwiązaniem uniwersalnej problematyki całej ludzkości;ale przenikanie jego będzie tak powolne, że Europa tymczasem obrócić się może w ruinę, tak jak Hiszpanja, o ile jakiś naród nie stanie się apostołem i realizatorem jego, jako całości, pociągając za sobą innych. Nie jest prawdą, że dziś uniwersalizm i regjonalizm nie dadzą się zespolić w rację bytu jednego narodu; przecież Włosi, Niemcy, Rosjanie, Japończycy godzą ze sobą te dwa aspekty, potęgując swój byt indywidualny właśnie przez głoszenie idej uniwersalnych; każdy z nich walczy o nowy typ cywilizacji, jaki pragnie rozpowszechnić wszędzie. Bączkowski podaje złe przykłady na dowód, że „szczyty myśli ludzkiej nie wydźwigały nigdy narodu, lecz zawsze naród wraz z *ludzkością*". Św. Tomasz ujął w system typ kultury, która już istniała od wieków (chrześcijańskie średniowiecze). Newton dokonał swego przełomowego odkrycia w dziedzinie jednej z nauk szczegółowych, Goethe był tylko kontemplatorem wartości ogólnoludzkich, — ale Wroński był *reformatorem* i twórcą całkowitej koncepcji nowej kultury, której jeszcze niema a być powinna. Toteż inne być muszą skutki jego dzieła, niż skutki dzieł tamtych (choć i one oddziałały potężnie na kształtowanie się jednolitej — włoskiej, angielskiej czy niemieckiej — świadomości i kultury narodowej, św. Tomasz poprzez Danta, Newton przez nowożytny scientyzm i empiryzm wiodący w prostej linji do angielskiego „naukowego humanizmu", a Goethe choćby przez typ „człowieka faustowskiego" jako ideału rasy germańskiej). Bączkowski niepotrzebnie ogranicza się tu do polityki; gdy mówię o misji dziejowej Polski, mam na myśli tworzenie *kultury*, jako pewnego całokształtu duchowego, którego jednym z organów jest polityka i realizowany przez nią cel imperjalny. Gdy wrońskizm stanie się treścią i fundamentem takiej kultury, będzie on też i treścią polityki polskiej.

Nie możemy więc poprzestać na symbiozie kulturalnej z Zachodem, raz dlatego, że byłoby to wstecznictwo: nie iść naprzód, gdy się ma warunki potemu, powtóre zaś dlatego, że — jak już mówiłem wielokrotnie — Zachód nie jest już sobą i wydziela, podobnie jak Wschód, groźne substancje trujące. Zachód stracił drogowskaz, czy i my mamy się z nim błąkać, aby wreszcie pójść na dno razem z tym okrętem bez steru? Jak tu scalać duchowo Europę, która już się rozpadła na państwa faszystowskie, demoliberalne, komunizujące i takie, w których faszyzm i komunizm mają równe siły? Przedewszystkiem komunizm rozlał się już wszędzie i nie wystarczy krucjata wojenna na Moskwę; w imię idei Przedmurza trzeba dziś kontr-doktryny, któraby umiała go pokonać we Francji, Hiszpanji, Czechosłowacji, Ameryce, Chinach, bo z każdego takiego ogniska może on odróść w nowej sile. Judaizm, masonerja, socjalizm, oto potęgi, które przeniknęły już sobą cały świat i wszędzie pójdą z pomocą komunie. Nie jest taką wystarczającą kontr-ideą ani faszyzm, bo przekona on tylko jeden biegun antynomji społecznej, nie jest nią katolicyzm w swej fazie obecnej, bo pociągnie za sobą tylko obóz wiary, a nigdy tych, którzy domagają się pewności rozumowej, nie jest nią prometeizm, bo: 1) wyzwolone narody Eurazji mogą też wprowadzić u siebie ustrój komunistyczny, 2) prometeizm osłabia Rosję lecz nie komunizm, jako doktrynę; trzebaby tedy wprzód mieć świadomość, na jakich zasadach ideowych oprzemy plan organizowania Europy Wschodniej.

Pojęcie Polski-Przedmurza poddać można różnostronnej krytyce. Naprzód, jest to idea obronna, nie ofenzywna, jeśli bowiem mowa tu i o krucjacie przeciwko Moskwie i komunie, to w sensie maksymy: „atak jest najlepszą obroną". Następnie: jeśli to tylko kwestja polityczna, postulat aktualnej konjunktury, to wolno mieć poważne wątpliwości, czy pełnienie takiej roli jest *interesem* mocarstwowym Polski (w tej samej mierze, w jakiej kwestjonowano odsiecz Wiednia); weźmiemy przecież na siebie całe ryzyko walki bezpośredniej i napór straszliwy międzynarodówek masońsko - żydowsko - komunistycznych, nie mówiąc już o olbrzymim ciężarze potęgi imperjum sowieckiego, którą zrównoważyć mogłaby aktualnie tylko pomoc Niemiec (ale za jaką cenę?). Jeżeli zaś to racja historyczna naszego posłannictwa, to dość ubogie to ambicje, bronić i rozpowszechniać wartości duchowe wytworzone już przez inne narody, zamiast tworzyć nowe, własne ideały kulturalne, zdolne pchnąć naprzód postęp ludzkości. Niemcy, o ile decydują się na rolę „żandarma Europy" to tylko dlatego, że wierzą w swój mit dziejowy, w ogrom wyprodukowanych przez siebie dzieł cywilizacyjnych, oraz w prawdy, które światu przynoszą. U nas istnieje przysłowiowy kompleks niższości, brak aspiracyj do przodownictwa duchowego. Obawiam się, że ideał Polski - Przedmurza nie wytrzebiłby tego kompleksu z dusz polskich.

Czyn Sobieskiego jest idealnym symbolem Polski - Przedmurza. Istotnie też, przez długie wieki Polska pełniła tę misję w zakresie znacznie szerszym, niż go ujmuje dziś Bączkowski. Broniła ona nie geograficznego Zachodu Europy, lecz tego ekstraktu duchowego europejskości, jakim jest stop idei politycznej: wolności i idei religijnej, zawartej w doktrynie Chrystusa. Walczyła o tę wartość uniwersalną zarówno z Moskwą na Wschodzie, jak z germańskim kultem pięści na Zachodzie, zarówno ze Szwecją, przewodniczką protestantyzmu, jak z Turcją islamską. Ale jednocześnie narastało w niej ziarno potężnych i nowych treści duchowych, których rozwój organiczny, poprzez idee unji i nieskończonej wartości jednostki, aż do systemów polskiej filozofji narodowej kulminować miał w uniwersalnej, światotwórczej doktrynie Wrońskiego. W tem oto ziarnie zawarta była zagadka misji Polski, samookreślającej się swobodnie od wewnątrz, tak jak epopea Polski-Przedmurza wyrażała tę misję od zewnątrz.

(c. d. n.). *Jerzy Braun*

[1]) Patrz: artykuł W. Bączkowskiego p. t. „O narodach marnotrawnych, o Polsce i prometeiźmie", w kwartalniku „Wschód - Orient", Nr. 2 — 3, r. VII, str. 78.

Niżyński Marjan *Cykl: „Opętani".*

O zasadzce

I właśnie wtedy gdy jak ślimak mokry
Wyzbyty krętej skorupy dociekań
Wolny wychodzisz ku drodze do pokrzyw,
Zamaskowany i podstępny czeka.

Najpierw się tuli i kuca w opłotkach;
(w bibułę ciszy owinięta mina)
Byleś się zbliżył, byleś go napotkał,
Lew wiekuisty muskuły napina.

I oto buchnie mrowiskiem żarliwem,
I głowę zepnie melodji turbanem,
W krew wcieknie, w płuca, wyziew zaraźliwy
I piaskiem w oczy ci sypnie różanym.

I jużeś kosiarz, choć jeszcześ nie posiał,
Jeszcześ nie przeklął a jużeś przebaczył,
Już zarażony a jeszcześ nie posiadł,
Jużeś niewolnik, a jeszcześ nie walczył.

I jeśli w drogę gderliwą wdeptany,
Mgłą przywalony, dźwigniesz się atleto,
Uskoczysz, w oczy mu zaglądnąć zdążysz,
Zmierzysz i wytrwasz i mową okrążysz,
Człowieku mądry przez piękno wyzwany,
Jesteś poetą.

Antoni Madej

Zestąp światłości

Świecą ciała twego, jest oko twoje. Jeśliby oko twoje było szczere: wszystko ciało twoje świątle będzie. (Św. Mateusz, 6. 22).

1. *Świecą ciała — oko gorejące,*
a wkoło mrok, ciemności i otchłanie,
i wiry słońc i gwiazdy spadające,
patrz śmiało, patrz poza nie.

Opada mrok — rozdarty nocy cień —
stoimy twarzą w twarz:
tu my, tu ON — Światłości Wieczny Dzień.
Spłonęła przestrzeń. Spłonął czas.

2. *Szczere masz oczy — ciało światłem szumi,*
wzbija się łuną nad odmętów toń,
podniesiesz rękę,
szumi światłem dłoń,
podniesiesz głowę,
blask w spojrzeniu szumi,
zakwita przestrzeń różą lazurową.

3. *Róża i światło — szczerość i jaśnienie —*
i płomienienie — przeistoczenie —

4. *Zestąp światłości, przypłyń w oczy moje,*
gdy w żrącym mrozie mroków świata stoję.

Złota winnica

Ten, który duchem tworzy pracując od rana,
niech nie kryje oblicza przed błękitem dnia,
ale c a ł y staje przed obliczem Pana
u źródła żywej wody, u głębiny dna.

Ten, który z siebie daje nie myśląc o sobie,
ale iżby pożywić się mógł każdy człek,
w próchnicę ziemi wetknął dłonie obie
i dobywa z niej dolę nie na rok — na wiek.

Na wiek, na tysiąclecie, po najdalsze czasy
dzwoni łańcuch słoneczny prostych, Bożych słów.
Przeminie czas, lecz Słowo zostanie nad czasem,
promieniejąc światłością wciąż znowu i znów.

Pan szczepił winną witkę i złota winnica
rozjarzyła się w błyskach zmartwychwstałych zórz
pomnożeniem stokrotnym, w rachunku obliczań
pierwsze ziarno najlichsze nie jest lichym już.

Chociaż znika, zatraca się ludzka osobność
i jużeś sam nieważny, jużeś Boży cień:
wstaje Feniks z popiołów — duch w dary zasobny
na Pański dzień!

Bronię ducha z Elzynoru

Krytyczne uwagi p. Marjana Niżyńskiego o szkicu mym p. t. *Nowa realizacja Hamleta*, ogłoszone w poprzednim numerze Zetu p. t. *Hamlet wyzwolony* — skłaniają mię do kilku uwag.

Najpierw wypadnie zacząć od spraw najmniej ważnych a najbardziej nieprzyjemnych. Chodzi mi więc o *ton* tej polemiki, — w ogólności poważnej, budowanej na podstawie własnego przemyślenia i znajomości przedmiotu, powiedzmy odrazu: ciekawej. Szkoda przeto, że autor zepsuł artykuł kilkoma wtrętami, które czynią wrażenie zamaskowanej złośliwości. Chodzi mi tu o takie zdańka, wsunięte w poważny zresztą wywód, jak np: unowocześnić Hamleta, to — *nietylko* nadać mu wartkość tempa filmowego, czy wyzwolić go z realizmu historycznego, — *lecz* wyzwolić go z irracjonalizmu.

To jest takie zamaskowane ukłucie, gdyż w *Nowej realizacji Hamleta* idzie mi rzeczywiście o nadanie wartkiego tempa akcji, o czem tam zresztą piszę. W tej więc aluzji jest myśl dyskretna a niewiadomo czemu ukryta: wasza nowoczesność jest zewnętrzna, zatrzymaliście się na powierzchni zagadnienia, nie sięgnęliście do głębi. Tak więc mamy pierwszą admonicję. Drugie takie zdańko brzmi tak: nowa realizacja tak *troskliwa i dokładna*, musiała mieć na uwadze *chyba samego widza*, skoro dla efektu teatralnego pominęła błąd, dyskredytujący koncepcję (o czem niżej). Znów złośliwość, poddająca poraz drugi czytelnikowi, że nam głównie chodziło o przykrajanie Hamleta do gustów publiczności, o tanie efekciarstwo. Zarzut przykry. Zgrzytam zębami ale mówię sobie: spokojnie, bo to nie koniec. Zgrzytam jednak, bo ten zarzucik otulony jest w kolorową watkę i upstrzony fałszywym i nieszczerym komplementem, o *troskliwości* i *dokładności naszej pracy*.

Odpowiem tu odrazu, lecz bez złośliwości: Pracując nad tą realizacją, myśleliśmy rzeczywiście o *widzu* i to dosyć często, bo uważaliśmy, że to przedstawienie ma być *dla widza*, a nie dla naszej przyjemności. Myśleliśmy też o *wartkiem tempie*, bo mieliśmy w pamięci nieznośne dłużyzny i niedorzeczności szekspirowskich przedstawień i chcieliśmy wybronić ten teatr od zupełnego zniechęcenia widza, które bezsprzecznie mu grozi. Ale cóż to więc wszystko ma wspólnego z koncepcją zasadniczą? Czy nie można budować realizacji na poważnej koncepcji całościowej i myśleć równocześnie o ekspressji sceny? A raczej, czy nie *należy* tak właśnie pracować nad inscenizacją starego dramatu? Jeśli dalej p. Niżyński dopatruje się unowocześnienia Hamleta w wyzwoleniu go z *irracjonalizmu*, to odpowiem, że *mój* zamiar nie był taki a napewno już tego hasła interpretacyjnego nie znajdziemy u Wyspiańskiego, który cały irracjonalny wkład w Hamlecie aprobuje. *Dramat świadomości* to nie jest dla mnie wyzwolenie od irracjonalności w tym sensie, by zjawiska tego w dramacie i na scenie wogóle być nie mogło, lecz by właśnie na scenie Hamlet od irracjonalnych pierwiastków się wyzwalał i z nimi walczył. Jest tu jakieś pomięszanie pojęć. Wiem, że np. w dziele filozoficznem, *racjonalistycznem*, nie ma miejsca na irracjonalizm. Ale dramat to nie dzieło filozoficzne, i byłaby zubożeniem sztuki — taka eliminacja. Do tej sprawy jeszcze powrócę w dalszym ciągu. Tymczasem cierpmy dalej, bo oto wyskakuje trzecia złośliwość. Autor tak znów mentoruje: przecież Wyspiański wypowiada się co do powodu pozostawienia przez Szekspira w dramacie tym zjawy ducha i napisania przezeń sceny cmentarnej. — Powodem tym była prawdopodobnie śmierć ojca Szekspira. Ale ten komentarz Wyspiańskiego pozostał *niedoceniony a może niedostrzeżony* przez Kudlińskiego. Ba! Takie sprawy — pomyślcie!

Skąd to przypuszczenie? — pytam spokojnie na pozór. Dlaczego autor podejrzewa mnie, że nie dostrzegłem kwestji przez Wyspiańskiego obszernie w jego studjum omówionej? Byłbym matołem, gdybym jej nie dostrzegł. Chyba, że się przypuści, iż nie bardzo tam znów czytałem tego Wyspiańskiego. Gdyby tak było — możnaby śmiało osądzić mię i moją pracę jako niechlujną. Zgódźmy się jednak, że to dostrzegłem. Jeśli autor nie wierzy — dam słowo honoru. Pozatem co do sceny cmentarnej, to piszemy *wyraźnie*, dlaczego ją skreślamy (idąc za jasną i oczywistą wskazówką Wyspiańskiego, co do błędu konstrukcyjnego). Dlaczego zaś pozostawiliśmy irracjonalną scenę z duchem, nigdzie nie piszę w mej broszurze. I p. Niżyński *nie wie* w tej chwili, dlaczego ją zostawiłem. Tak więc *domyśla się* tylko powodów. Muszę tu popełnić pierwszą złośliwość i powiem teraz, że właśnie tok *jego* argumentacji w tym miejscu jest *irracjonalny*, gdyż opiera się na domyśle i podejrzeniu. Pan Niżyński tak rozumuje w swym artykule:

1) Scena z duchem jest rekwizytem romantycznym, niegodnym nowoczesnego dramatu świadomości.

2) Wyspiański tłomaczy pozostawienie tej sceny przez Szekspira niedawną śmiercią jego ojca, która skłoniła go do tych funebralno-uczuciowych manifestacji (a ten Kudliński tego nie dostrzegł lub nie docenił!).

3) P. Niżyński gani jednak Wyspiańskiego za ten pomysł, twierdząc, że tłomaczenie takie jest *genetyczne* a nie *dialektyczne* i przez to niema wartości dla dramatu, dla sceny. Śmierć ojca usprawiedliwia Szekspira, ale nie Wyspiańskiego. Zupełnie słusznie. A teraz zapytam p. Niżyńskiego, bo takie mam wrażenie jakbym się przesłyszał: Czego to ja nie doceniłem w tym komentarzu Wyspiańskiego, *skoro sam p. Niżyński uznaje ten komentarz za chybiony?* No popatrzcie, jaki ten młody człowiek przewrotny. Jest w nim irracjonalizm i trochę perfidji. To jeszcze nie wszystko niestety, co mam na wątrobie:

Znów to poklepywanie po ramieniu: rozprawka — pisze pobożnie ten figlarz — ciekawa i pożyteczna, owszem — nie ganię. Wkrótce jednak dalej ukazuje się nam zasmucony grecki profil autora. Czem? Rezerwą teatrów, w stosunku do nowej realizacji Hamleta. Czyni to jednak p. Niżyński wyrozumiale i zbytnio się nie dziwi — gdyż prorokuje (znów ten irracjonalizm), że rzecz nie będzie *kasowa*, gdyż jest zbytnio „skomplikowana myślowo". Tu wypada mi p. Niżyńskiego, upiększonego nieznaną mi dotąd kassandrową aureolą, zapytać grzecznie ale na serjo — u Boga Ojca, — czy sądzi, że takiem dictum wyrządza sprawie Hamleta w Polsce przysługę? Czy przyczyni się do popularyzacji Hamleta, tej popularyzacji, w imię której podobno napisał swój artykuł? Ej — panie Niżyński, masz djabła za skórą! Wreszcie twierdząc, że dramat inteligencji (o który nam chodzi), może się rozegrać tylko w świetle realnych faktów, logiki i konsekwencji — podkreśla, że *nam* się to niezupełnie udało. Nareszcie wiemy o co chodzi. Trochę późno, ale lepiej, niż nigdy.

Tyleby było spraw zaliczonych przezemnie do „fałszywego tonu" artykułu p. Niżyńskiego, co chciałbym najbezwzględniej przygwoździć. Znamy się z Szanownym Autorem nie od dziś i przypuszczam, że można było ten artykuł zacząć otwarcie i po prostu słowami: nie udało się wam — panowie, a to dlatego, dlatego i dlatego. A dać spokój komplementom i tej dziecinnej powadze i mentorstwu w guście: dobrze chłopcze, tylko tak dalej, ale widzisz tegoś nie przeczytał, toś nie zupełnie zrozumiał, ucz się pilnie, może coś z ciebie będzie. To nie uchodzi między znajomymi.

Uff! Nareszcie koniec z tem. To chciałem ze siebie najpierw wywalić, by próbować już spokojnie odpowiedzieć na zarzut p. Niżyńskiego, iż nasza realizacja nie zupełnie się nam udała:

Muszę tu dla jasności powtórzyć w skrócie i zreasumować wywody autora, możliwie sumiennie i strzegąc się wszelkiej irracjonalności i złośliwości.

Po pierwsze podkreślam, o czem już wyżej była mowa, iż p. Niżyński wyklucza z dramatu świadomości Hamleta irracjonalizm, bo pozaświadomość jest sprzeczna z istotą założenia. Dramat ten winien się rozgrywać wyłącznie w świecie faktów realnych, logiki i konsekwencji. P. Niżyński rozumuje dalej, bystro i poważnie (nie żartuję) — tak:

Co za sytuację zastajemy w dramacie o Hamlecie? Hamlet przybywa na dwór z podejrzeniem, że Klaudjusz zamordował jego ojca. Urządza ów „teatr w teatrze" na oczach Klaudjusza, odtwarzając tak wiernie przebieg zbrodni (chodzi tu o wlanie trucizny do ucha śpiącego ojca Hamleta), że Klaudjusz zdradza się [1]). To jest dla p. Niżyńskiego dopiero pierwszy „fakt" konieczny dla dramatu świadomości. Ten trzon dramatu atoli wisi na hypotezie, że Hamlet musiał *znać dokładnie przebieg zabójstwa*, skoro je tak wiernie odtworzył w owem przedstawieniu, urządzonem dla Klaudjusza.

U Szekspira, Hamletowi opowiada te szczegóły zjawa — duch ojca, co widza wystarczająco przekonywa, jednak scena ta jest w dramacie elementem irracjonalnym. (Zaznaczam tu, o czem zresztą sam p. Niżyński wie, że scena z duchem nie jest pomysłem Szekspira, lecz pozostałością dawnej tragedji zemsty, która stała się osnową dramatu szekspirowskiego). W tym elemencie ducha widzi p. Niżyński z jednej strony konwencjonalizm teatralny dopuszczalny *anno dazumahl* — z drugiej — intencję Szekspira w kierunku zaznaczenia fatalizmu, któremu Hamlet ulega (także w chwili pojedynku i śmierci). Tak jest u Szekspira. Jeśli jednak u Wyspiańskiego przetworzenie Hamleta odbywa się na podłożu filozoficznem w dramat *świadomości*, mający tłomaczyć kunktatorstwo Hamleta — to co tu robi pierwiastek *nadprzyrodzony*, od którego rozpoczyna się walka Hamleta z otoczeniem, walka jego świadomości ze złem. Przecież fatalizm, jako znamię tragedji — mamy wykluczyć z tego nowoczesnego, dialektycznego dramatu. Dlatego tę scenę ze zjawą rozpatruje autor uważnie.

Gdyby ten duch ukazał się tylko Hamletowi — moglibyśmy go ostatecznie uznać, tłomacząc to wydarzenie jako halucynację a zarazem jako artystyczny symbol i ekstrakt rozważań i podejrzeń Hamleta. Tymczasem ducha widzą też i jego towarzysze. Halucynacja zbiorowa jest wykluczona. (Dlaczego — nie wiem, ale to szczegół). Tak więc pozostaje zwyczajny sobie upiór, duch, przesąd.

A więc?

Kryminał. Konwencjonalny rekwizyt teatralny. Sztampa. Cała inteligencja Hamleta opiera się na relacji upiora. Bujda. Wyspiańskiemu można darować, ale Kudliński się machnął. Wyspiański bowiem pozostawił tę scenę, którą można przebaczyć Szekspirowi, ale wyjaśnił to choćby genetycznie (śmierć ojca — o czem była mowa). Jednak dialektyka dramatu samego nic na tem nie zyska. Jeśli godzimy się na pozostawienie tej sceny, przyjmujemy sofoklesowski charakter tragedji przeznaczenia i przekreślamy koncepcję dramatu Wyspiańskiego (ależ na Boga, sam Wyspiański chyba musiałby ją przekreślić, bo przecież ducha zostawił!).

Słowem, — nie ma wedle Niżyńskiego wystarczającego przejścia od nieświadomości do świadomości. Dramat świadomości *nie może* się rozpocząć. Hamlet nie ma prawa demaskować Klaudjusza, wymierzyć mu karę, umrzeć, — dochodzimy do absurdalnej (jak autor przyznaje) konkluzji, — że niema wogóle dramatu.

Dramat zaczęty od decyzji ugruntowania podejrzeń, zaczerpniętej od upiora — zawieszony jest w próżni.

Wobec tego proponuje autor scenę z duchem zastąpić prostem opowiadaniem przypadkowego, naocznego świadka zbrodni — od czego (po wykluczeniu irracjonalności), możnaby rozpocząć spokojnie dramat świadomości.

Teraz rozważmy tę koncepcję: a więc nasamprzód, — jeślibyśmy to proponowane przez p. Niżyńskiego „opowiadanie świadka" przyjęli za wystarczający, racjonalny i realny punkt wyjścia do działania Hamleta, to trzebaby się zdecydować na skreślenie sceny „teatru w teatrze", bo w jakimż celu Hamlet miałby się upewniać o tem, o czem *wiedziałby* już przedtem napewno?

Ale pozostawmy to pytanie na boku.

Chodzi o rozstrzygnięcie zasadniczej sprawy, czy wolno nam (t. j. Kudlińskiemu i tow.), pozostawić scenę z duchem, bezsprzecznie irracjonalną, w tym zamierzonym przez nas dramacie świadomości? Tak, jak proponuje p. Niżyński, z Hamleta pozostałby właściwie dość suchy schemat logiczny, jakiś laboratoryjny wycinek psychicznego jestestwa Hamleta, sztucznie wyodrębniony, podczas gdy my chcieliśmy widzieć na scenie *całego człowieka*, a więc *pełnię jego psychiki*. Dlatego twierdzę, że zjawiska pozaświadome bynajmniej nie mogą tu być z zasady i zgóry wykluczone, tak jak nie wykluczamy np. elementu uczuciowego w stosunku do Ofelji i zwłaszcza w stosunku do matki — (motyw matki, — bardzo ważny i obszernie przeze mnie wywiedziony jako *zasadniczy* moment retardacyjny po scenie z aktorami). Twierdzę więc, że wszystko to są zjawiska *realne* w dziedzinie psychiki i wytwarzają opór dla działającej woli. Dramat Hamleta nie jest dla mnie czystą i absolutnie swobodną dialektyką wewnętrzną królewicza, ale dialektyką ludzką, spotykającą już wewnątrz siebie — opory np. uczuciowe lub pozaświadome. Tak myślę, że *to jest* może właśnie współczesne ujęcie, psychologiczne. W ramach całej psychiki dopiero jest miejsce na dialektykę świadomości. Uważam, że moment pozaświadomy bynajmniej koncepcji dramatu świadomości nie dyskredytuje, że ją raczej wzbogaca i czyni pełniejszą, dopuszczam go świadomie, a nie przez żadne niedopatrzenie.

Czynię to tem śmielej, że już u Szekspira Hamlet do wieści o duchu odnosi się wyraźnie podejrzliwie, przypuszczając mistyfikację. Ujrzawszy ducha poddaje się wrażeniu chwili, ale niezadługo szydzi z niego, choć już to wrażenie zapadło głęboko w jego duszy i każe mu właśnie, jako człowiekowi obdarzonemu inteligencją i wolą, — sprawdzić wersję otrzymaną od zjawy. Hamlet ze zjawą ducha *walczy*, bo również nie wie, czy nie jest to fantom lub „duch zły" wiodący go na manowce.

Nie potrzebuję przytem dla Szekspira nawet żadnych usprawiedliwień w śmierci jego ojca, gdyż scena ta i cały pomysł (choć obcy), odpowiadają najzupełniej jego twórczości, stojącej na przełomie średniowiecza — i odrodzenia, typowi właściwemu dla przełomu epok, łączącemu pierwiastki minione i przyszłe, pierwiastki misteryjnego średniowiecza i humanistycznego odrodzenia. Przecie forma teatralna Szekspira jest jeszcze nawskroś średniowieczna i nietknięta klasycznymi regułami odrodzenia.

Dlaczego zaś należy pozostawić tę scenę i w dzisiejszej inscenizacji? Najpierw dlatego, jak wyraźnie podkreśliłem w broszurze, że ogólną zasadą nowej realizacji jest pogodzenie *tradycji* szekspirowskiej z *postępem* i że chcemy z Szekspira zachować to, co jest dlań charakterystyczne a nie rujnuje nam całości. Nie chcemy Hamleta pisać na nowo. Dążymy, by Hamlet pozostał dramatem Szekspira. Ale to są względy artystyczne, na które można się zgodzić lub nie. Powróćmy przeto do argumentów ad hominem.

Postaram się tę rzecz jeszcze wyraźniej uzasadnić. P. Niżyński nie chce więc słyszeć o tej zjawie. Opowiem na to zdarzenie, które się wydarzyło naszemu wspólnemu znajomemu, człowiekowi najzupełniej wiarygodnemu — i poważnemu, który przez długi czas nie chciał nam opowiedzieć co go dręczy, choć wszyscyśmy widzieli, że chodzi nieswój po świecie. Człowiek ten stracił już dawno ojca, którego bardzo kochał i często do jego osoby myślą wracał, patrząc na fotografję, stojącą na jego biurku.

Otóż najniespodziewaniej w świecie — w biały dzień, zjawił się w jego pokoju zmarły ojciec w sposób tak niesłychanie plastyczny i realny, że człowiek ten (wielki zresztą racjonalista), chodził przez długi czas jak urzeczony. Dodam jeszcze, że inna osoba znajdująca się w pokoju, w którym zdarzenie miało miejsce, wybuchnęła spazmatycznym płaczem, opanowana nagłym przerażeniem. Nie chcę p. Niżyńskiego przekonywać do tych zjawisk, ani szukać ich wytłumaczenia. Faktem niezaprzeczonym pozostanie, że istnieją i tem samem mogą być i są owymi „faktami realnymi", których szuka p. Niżyński, dla rozpoczęcia dramatu świadomości. Taka zjawa widzialna czy odczuwalna *nietylko dla Hamleta* (jak się okazuje z analogji mego opowiadania), mogła więc mieć miejsce. Jeśli się już zgodzimy na dopuszczalność tego wydarzenia, a zaprzeczyć mu niepodobna, — to obojętną pozostanie rzeczą, *w jakiej sferze zjawisko to umieścimy*. Podkreślam ten moment, gdyż istotnym jest tylko wstrząs psychiczny. Oczywiście najwięcej skłaniałbym się do koncepcji halucynacji, połączonej z sugestją, a więc emanacji pewnych nurtujących podejrzeń, słowem, — krystalizacji domysłów w sferze pozaświadomej. (Mógłby to być np. równie dobrze — sen). Nie potrzebuję dodawać, że ten moment *pozaświadomości* nadaje się do symbolicznej realizacji, najlepiej we formie zjawy.

Przyznaję lojalnie, że pozostaje trudna ostatecznie jedna jeszcze sprawa. Dopuściwszy fakt zjawy w dramacie świadomości ostatecznie dochodzimy do tego, że przebieg zabójstwa, wiadomość o nim pochodzi ze sfery *podświadomości*. Nie tragizujmy jednak znów tak bardzo i nie utrudniajmy sobie życia.

Twierdzę, wbrew p. Niżyńskiemu, że dramat świadomości Hamleta rozpocząłby się napewno także od innego zdarzenia zewnętrznego, gdyby sceny z duchem nie było. Scena ta ostatecznie — wbrew wrażeniu, jakie artykuł p. Niżyńskiego mógłby wywołać, *nie jest źródłem* działania Hamleta. Źródłem jest zamiar i konieczność sprawdzenia podejrzeń, a scena z duchem poddaje Hamletowi tylko pierwszą *formę* działania, z której on korzysta. Nie uważam przytem za takie nieprawdopodobne, by w czasach odrodzenia i powszechnie stosowanych środków gwałtownej śmierci, forma otrucia taka, jaka jest w Hamlecie, była czemś bardzo nadzwyczajnem. Sądzę, że był to jeden z *praktykowanych* sposobów, który nawet przy rozmyślaniu okoliczności śmierci ojca, mógłby się Hamletowi i na jawie nasunąć. Tak więc pytanie *skąd się Hamlet dowiedział* o przebiegu zabójstwa (co ostatecznie jest zasadniczem pytaniem artykułu p. Ni-

(Dokończenie na str. 4-tej).

[1]) Ten teatr w teatrze, to warjant odwiecznego a zarazem do dziś aktualnego motywu, który Grecy nazywali katarsis, a my „rozwiązaniem kompleksu".

Pokłosie

W swych artykułach w *Zecie*, zazwyczaj usiłuję przedstawić pewien zespół rzeczywistości *systematycznie*. Jest to jedyna metoda, aby, nawiązując wszystko do jednej powszechnej zasady i ustalając, że tak powiem, pokrewieństwo między poszczególnymi przedmiotami naszych poznań, dojść do zupełnego uzgodnienia wiedzy z samą sobą i w ten sposób zdobyć prawdę. Wszelka inna metoda daje tylko dorywcze poglądy, mniej lub więcej pewne, mniej lub więcej przekonywujące.

Ale dzisiaj mam co innego na celu. Mianowicie, gdy się czyta dzieła Wrońskiego, raz po raz się natrafia na uderzające, najgłębszej mądrości pełne ujęcia różnych spraw, na zwięzłe sformułowania, z których tryskają istne snopy światła. Si licet parva componere magnis — kiedyś mój siostrzeniec, któremu dałem do przeczytania swój przekład humoresek angielskich W. W. Jacobsa, wyraził się, że przy tej lekturze „można zdechnąć z radości". Bardzo mi się podobało, że powiedział właśnie „z radości", a nie np. „ze śmiechu". Uważam, że jest to specyficznie męska reakcja na czysto umysłowe zadowolenie. — Wznosząc się o sto pięter wyżej, z tych sformułowań, o których przed chwilą wspomniałem, czerpie się nie po prostu obojętną, objektywną wiedzę, ale ponadto prawdziwą *radość*, że oto mamy przed sobą coś najniewątpliwiej *prawdziwego i ne varietur*.

„Apodyktyka" nie prędko doczeka się przekładu na polski. A nawet częściowe z niej wyjątki przedstawiają zbyt wielkie trudności. Otóż umyśliłem dać czytelnikowi narazie — przynajmniej jakby pokłosie, cytując, bez obszerniejszych komentarzy, a w możliwie wiernym przekładzie własnym, niektóre zwięzłe ustępy. Będzie to strawa niewątpliwie lżejsza, a przecież jakże posilna. Bez dalszych więc wstępów, oto tych kilka wyjątków.

Nauki filozoficzne

Prawdziwe nauki filozoficzne polegają na warunkach stworzonych, czyli niejako fizycznych, władz stwórczych człowieka, które to władze są hiperfizyczne. I jako takie, nauki te filozoficzne są w liczbie trzech, a mianowicie:

1-o Psychologja, mająca za przedmiot przejaw fizyczny naszych władz stwórczych czyli hiperfizycznych, poniekąd *narzędzia* myśli;

2-o Logika, mająca za przedmiot warunki fizyczne sprawowania tych władz stwórczych czyli hiperfizycznych, poniekąd *forma* myśli;

3-o Gramatyka, mająca za przedmiot ustalenie fizyczne wytworów naszych władz stwórczych czyli hiperfizycznych, poniekąd *wyniki* myśli.

Sztuka

Celem ogólnym sztuk pięknych jest kultura estetyczna czyli uprawa uczucia. Ich celami poszczególnymi są: przedewszystkiem, w przewadze *poznania*, ogłada wiedzy, t. zn. pozbawienie jej owej szorstkości, która stanowi jej cechę wsobną, ile że wiedza za jedyny cel ma prawdę; następnie zaś, w przewadze *chcenia*, urabianie woli, t. zn. przygotowywanie moralności za pomocą piękna, które jest przywiązane do godności i cnoty. — Trzeba zaznaczyć, że uczucie przyjemności, związane z pięknem, nie może być bezcelowem w świecie i że nie może ono samo stanowić celu. Podobnie jak w pokarmach, mających na celu utrzymanie życia, przyjemność związana z ich użytkowaniem jest tylko środkiem, tak samo w przedmiotach Piękna przyjemność jest tylko nośnikiem, przedmioty te zaś powinny mieć jakiś cel — ten mianowicie, któryśmy co tylko wymienili.

Wolność

Wolność w człowieku nie jest niczem innem, jeno samąż działalnością jego rozumu powszechnego, owych zasad absolutnych, których rozwijanie stanowi cel przewzniosły ludzkiego istnienia. Wynika stąd, że, wbrew pospolitemu, mniej lub więcej utartemu poglądowi, wolność nie jest władzą pośrednią między powszechnością rozumu: władzą dobra, a indywidualnością bytu: władzą zła, a zatem czemś obcem i jednej i drugiej, jak się to przypuszcza, ażeby móc założyć domniemaną możność wyboru między dobrem a złem. Wolność, jako samaż działalność naszego rozumu powszechnego, jest poprostu władzą dobra, a zatem władzą odpierania zła; i właśnie z tej to relacji koniecznej pomiędzy dobrem a złem, dając się złudzić jej pozorem pod warunkami czasu, urobiono sobie fałszywy pogląd na wolność, jako na trzecią władzę, władzę pośrednią, władzę wyboru.

Szczęście

Samorzutność i wolność, będące dwiema cechami — podmiotową i przedmiotową — wiedzy, z większą energją przejawiają się w woli aniżeli w poznaniu, albowiem czynność woli posiada wyższy stopień podmiotowości czyli intensywniej wytwarza znaczenie świata. Błędne systematy, negujące istnienie wolności, wszystkie uznają *szczęśliwość* za pobudkę działania, i tym sposobem stanowią systemat eudemonji.

Szczególny systemat, zakładający szczęśliwość fizyczną jako pobudkę działania, nazbyt jest ordynarny aby sprawiać chociażby ułudę prawdy. Toteż wystarczy zatrzymać się na tym systemacie eudemonji, który za pobudkę działań właściwie moralnych uważa szczęśliwość moralną. Owóż tkwi w nim:

1-o błędne koło logiczne. — Człowiek może być moralnie szczęśliwy, tylko gdy jest świadom, że spełnił swój obowiązek; tymczasem do spełnienia obowiązku może go skłonić jedynie perspektywa szczęścia (moralnego), jakie ma stąd wyniknąć.

2-o prawdziwa sprzeczność. — Z jednej strony, człowiek winien spełnić obowiązek na mocy samegoż obowiązku i bez żadnej perspektywy na jakąkolwiek szczęśliwość; z drugiej zaś, człowieka może rzekomo skłonić do spełnienia obowiązku lub do jego uznania, tylko nadzieja szczęścia; co jest sprzeczne.

Należy rozróżniać błogostan patologiczny od błogostanu moralnego: pierwszy poprzedza czynność i staje się bodźcem do niej; drugi następuje po czynności i stanowi jej wynik.

Systematowi eudemonji (szczęśliwość jako pobudka) przeciwstawny jest systemat eleuteronomji (prawodawstwo własne wolności).

Moralność

Sposobowość moralna składa się z następujących elementów:

Konieczność moralna: Zobowiązanie. — Możliwość moralna: Dozwolone (res idifferens, res mere facultatis). — Faktyczność moralna: Obowiązek.

Esencjalność moralna składa się z następujących elementów:

Wyposażenie moralne: Leges praeceptivae; lex mandati.— Pozbawienie moralne: Leges prohibitivae; lex vetiti. — Ograniczenie moralne: Leges permissiwae; lex liciti.

Zło i dobro

Zło polega na związanej z nicością niecelowości, z dodatkiem nieprawności, cechującej indywidualność. Dobro polega na związanej z duchem celowości, z dodaniem prawności, cechującej powszechność.

Najwyższe obowiązki ludzkości

W stosunku do jaźni: Absolutna ofiara z indywidualności (przez śmierć). — W stosunku do niejaźni: Absolutna ofiara z dobra względnego (dozwolonego). — W stosunku do ich neutralizacji: Wierność Absolutowi (przekładanie Boga nad wszystko).

Najwyższe cele ludzkości

W stosunku do jaźni: Tryumf cnoty. — W stosunku do niejaźni: Tryumf sprawiedliwości. — W stosunku do ich neutralizacji: Tryumf Prawdy.

Najwyższa świętość

W stosunku do jaźni: Cnota opiekuńcza. W stosunku do niejaźni: Sprawiedliwość opiekuńcza. — W stosunku do ich neutralizacji: Prawda opiekuńcza czyli opieka najwyższa.

Prawo wrodzone

Istnieje jedno tylko prawo wrodzone: jest to wolność jurydyczna, polegająca na tem, że każdy człowiek jest niezależny od widzimi-się każdego innego człowieka. Ta wolność jurydyczna nie jest niczem innem, jeno wolnością naturalną, ograniczoną w taki sposób, żeby mogła, zgodnie z prawem wspólnem i ogólnem, współistnieć z wolnością wszystkich innych. Jest to owo prawo jedyne i pierworodne, które przynależy człowiekowi na mocy jego człowieczeństwa i które stanowi warunek możliwości wszelkich innych praw.

Świadomość

Przebudzenie się świadomości powinno być dziełem własnem człowieka; toteż owo przebudzenie staje się w człowieku pierwszym przejawem jego autokreacji. — Aż do tego własnego przebudzenia świadomości, człowiek może rozpoznać swą jaźń li tylko przez doświadczenie, za pośrednictwem zmysłu wnętrznego: stąd też posiada on wówczas świadomość jedynie empiryczną. W tym stanie, człowiek doznaje swą jaźń tylko jako coś obcego jemu samemu, i dlatego może on wówczas wskazywać ją jedynie przez trzecią osobę czasownika. — Taki oto jest stan dzieci, właśnie aż do czasu, gdy zaczynają się one posługiwać pierwszą osobą czasownika, co stanowi wskazówkę, że się ich świadomość przebudziła.

Gdy człowiek w ten sposób obudził swą świadomość, wznosi się on do wyższego rzędu istnienia. W tym rzędzie wyższym, jaźń człowieka jest postulowana przez rozum, jako zasada samorzutności wistoczonej w rozum. Toteż jaźń jest wówczas uznawana rozumowo czyli a priori, nie zaś doświadczalnie czyli a posteriori; i dlatego człowiek posiada wówczas świadomość logiczną, w dodatku do świadomości doświadczalnej, której jego zmysł wnętrzny nie przestaje mu dawać.

Aliści ta świadomość logiczna, będąca tylko wymagalnikiem rozumu, jeszcze nie jest prawdziwą intuicją bezpośrednią jaźni. Ta ostatnia, stanowiąca świadomość czystą, rozwinie się dopiero później.

Wybrał i przełożył
Cz. Jastrzębiec-Kozłowski.

Po Zjeździe Filozoficznym

Echa III Polskiego Zjazdu Filozoficznego są w prasie bardzo żywe, co zanotować trzeba, jako objaw pocieszający. Niektóre pisma, jak np. „Czas", zamieszczają systematycznie szereg wywiadów z najwybitniejszymi uczestnikami Zjazdu. Zdarzają się wprawdzie i ewenementy wprost przeciwne: taki np. „Kurjer Warszawski", pragnący uchodzić za organ poważny, a będący w istocie symbolem stołecznej bezmyślności, ogranicza się do podania wiadomości o tak doniosłem wydarzeniu kulturalnem, jak Zjazd krakowski, w formie krótkiego ustępu w artykuljku, donoszącym jednocześnie o święcie Kolejarza Polskiego i zjeździe b. ochotników armji polskiej, oraz o mordzie zbiorowym w Niezdowie pod Wieliczką, informując w dodatku fałszywie, że „na zjeździe wygłoszono kilkanaście (!) referatów" i że „komitet wydał broszurę (!) zawierającą streszczenie referatów, co ogromnie ułatwiło prace zjazdu".

Ratuje honor „Kurjera Warsz." zamieszczony tam w przeddzień Zjazdu, artykulik prof. Z. Łempickiego, który charakteryzuje ogólną tendencję polskiej myśli filozoficznej jako antyracjonalistyczną i antymetafizyczną. Ścisłość była zawsze ambicją filozofji polskiej. „Jednym z najgorliwszych szermierzy antyiracjonalizmu i przeciwników fantastyki metafizycznej był Jan Śniadecki. Warto przypomnieć, że i mesjanista Hoene-Wroński był matematykiem. Zespolenie między matematyką a filozofją jest czemś charakterystycznem dla polskiej myśli filozoficznej".

Z tezą tą polemizuje J. Braun w „A. B. C." w n-rze 287 w artykule „O powrót do źródeł myśli polskiej", pisząc m. in. „Antyirracjonalizm i owszem, trudno o bardziej rygorystyczny racjonalizm, niż np. doktryna filozofa - matematyka Hoene-Wrońskiego. Ale z prądem *antymetafizycznym* rdzennie polski genjusz filozoficzny nie ma nic wspólnego... Filozofja czysta dźwignęła się w Polsce na wyżyny, jakich nie osiągnęła myśl francuska, ani niemiecka". Hoene-Wroński, Trentowski, Libelt, Cieszkowski, Gołuchowski, a w pewnej mierze Bukaty, Kremer, Brzozowski, byli przecież nietylko kontynuatorami wielkiej racjonalistycznej metafizyki, specjalnie jej tradycji transcendentalno-krytycznej, lecz „twórcami nowych, jeszcze wyższych jej szczebli".

Pojawiła się w wielu pismach wiadomość, że „ostatni dzień obrad sekcji historyczno-filozoficznej poświęcony był w całości filozofji polskiej. „O roli metody genetycznej w doktrynie Hoene-Wrońskiego" mówił p. Jerzy Braun. „O filozofji religji Trentowskiego" mówił ks. Jan Szczotka" i t. d. Lecz niewątpliwie było to zamało, by podkreślić poważną pozycję myśli polskiej w tej dziedzinie. Nie dziwi tedy wiadomość, podana w „Myśli Polskiej" przez J. Stępniewskiego, że prof. Lutosławski na Zjazd „nie przybył z powodów bardzo szczególnych, uzależnił bowiem swój przyjazd od tego, czy jeden dzień Kongresu będzie poświęcony filozofji polskiej" w całości, a nietylko w w jednej sekcji, jak to miało miejsce.

*

W „I. K. C." z 28 września, w art. „Nad czem obradują filozofowie", czytamy o logice prof. Łukasiewicza, że „stosując tę logikę do systemów transcendentalnych unicestwia się je zupełnie, Jednym z najbardziej aktywnych reprezentantów takich systemów obecnych na Zjeździe jest znany poeta p. Jerzy Braun, wyznający i kontynuujący metafizyczną doktrynę Hoene-Wrońskiego". Otóż trzeba tu zaznaczyć, że: 1) doktryna Wrońskiego nie jest systemem transcendentalnym, bo—choć nawiązuje do metod transcendentalno-krytycznych — wychodzi jednak poza nie, wytwarzając metodę wyższego rzędu (absolutną metodę genetyczną), 2) unicestwienie systemów transcendentalnych i wogóle filozofji czystej uradowałoby zapewne serca naszych logistów i pozytywistów, ale jest ono, przy pomocy logiki symbolicznej nie do przeprowadzenia, jak stwierdziła chybiona próba prof. Ajdukiewicza.

W wywiadzie A. Łaszowskiego z Ojcem Bocheńskim, docentem Angelicum w Rzymie, czytamy taki passus:

„— Chciałbym wiedzieć, jaką postawę zajmują tomiści wobec logistyki?

— Uważamy ją za dalszy ciąg tradycji scholastycznej. W związku z nią kształtują się nowoczesne narzędzia myślenia.

— Nie wszyscy filozofowie chcą ich jednak używać. Prof. Żółtowski oświadczył nawet wręcz, że filozofja prosi logikę o list rozwodowy.

— Ten głos szedł na rękę tendencjom wrońskistów. Zaprzeczyły mu celne argumenty. Prof. Ajdukiewicz odmówił temu obozowi prawo do zabierania głosu w języku niesprecyzowanym".

Wytwarza to sugestje, jakoby atak prof. Ajdukiewicza na metafizykę powiódł się w zupełności. Mniemanie błędne. Krytyka filozofji transcendentalnej dokonana przezeń przy pomocy zasady wyłączonego środka została podważona przez J. Brauna na gruncie antynomji kantowskich; z których natury zasada ta nie umie zdać sprawy. Niestety O. Bocheński nie słyszał tego wywodu; do niego bowiem odnosi się zdanie J. Stępniewskiego z „Myśli Polskiej" nr. 18: „jeden z ojców, zaiste niestrudzony, opuszczał salę przy każdem przemówieniu wrońskistów; tak, to było symboliczne: teologja tyłem do metafizyki i Rozumu".

*

Nieporozumienia takie jak między prof. Ajdukiewiczem a J. Braunem wynikały zapewne z rzekomej nieprzetłómaczalności wzajemnej języków wrońskizmu i logistyki. Pisze o tem Jan Mosdorf w artykule „Obozy ideowe na zjeździe krakowskim", w „Prosto z Mostu":

„Ambicję reprezentowania polskiej filozofji narodowej mają przedewszystkiem wyznawcy Hoene-Wrońskiego, których na zjeździe reprezentowali pp. Jerzy Braun i Jarosław Stępniewski. Zarysowali się oni jako indywidualności ciekawe i twórcze. Błędne taktycznie zabieranie głosu jeden po drugim sprawiło, że zostali odosobnieni. Szczególnie odżegnywali się od dyskusji z nimi logistycy ze szkoły warszawskiej, stwierdzając ustami prof. Ajdukiewicza, że języki, jakimi mówią obie strony, są całkowicie różne i że wobec tego nie tylko przekonać się, ale i zrozumieć nie sposób. Stanowisko to nie wydaje mi się słuszne, ani nawet (wybaczy mi prof. Ajdukiewicz) szczere, bo jeśli można za pomocą logistyki „rozgryzać" Rickerta, Kanta, Hegla, czemużby nie warto było zadać sobie trudu rozgryzienia Wrońskiego. Trudności językowe nie przestraszają chyba logistyków, a pociągać powinny semantyków. Atak filozoficzny na Hoene-Wrońskiego byłby naukowo dużo płodniejszy, niż wyśmiewanie go, jako „sprzedawcy absolutu".

Zupełnie słusznie. Wrońskiści mają rację, gdy narzekają, że Bóg pokarał ich takimi przeciwnikami, którzy nawet nie czytali dzieł Wrońskiego (cóż dopiero mówić o ich „rozgryzieniu"). Ba, ale przytrafia się to nietylko likwidatorom Wrońskiego: „Jeden z logistów — mówi J. Stępniewski w wywiadzie z M. Starostem, opublikowanym w „Myśli Polskiej" — próbował wręcz likwidować problematykę filozofji, i to nie byle jakiej, bo opartej na Kancie, filozofji transcendentalnej. Punctum comicum tego wystąpienia leżało już w samym przygotowaniu: prof. Ajdukiewicz (o niego to bowiem chodzi), z podziwu godną odwagą... wyznał, iż przed laty próbował czytać komentarz Cohena do Kanta, no i że go nie zrozumiał. Nie mniej referat prof. Ajdukiewicza był jedyną próbą rozprawienia się z filozofją bądź co bądź na gruncie filozofji".

Jakże jednak było ostatecznie z tą niezrozumiałością języka? Zarzuty te wciąż się przecież powtarzają. W wywiadzie z jednym z uczestników Zjazdu, zamieszczonym w „ABC" p. t. „Parlament myśli polskiej" czytamy:

„Na wszystkich posiedzeniach i ważniejszych sekcjach zabierali głos przedstawiciele filozofji Hoene-Wrońskiego... Wystąpienia ich mimo głębokiego ujęcia tematu spotykały się na ogół z nieprzychylną atmosferą na zebraniach, głównie może na skutek tego, że referaty ich były zawiłe w formie i obarczone swoistą, trudną terminologją".

Otóż J. Braun w tymże „ABC" rozwiązuje tę zawiłą zagadkę:

„Na Zjeździe okazywało się na każdym kroku, że uczeni polscy nie znają, nie czytali dzieł polskich twórców wielkich systemów z 19 wieku. Nic dziwnego, że język Wrońskiego wydawał im się niezrozumiały, choć sami logiści używają języka o wiele mniej strawnego, niż wrońskiści. Gdyby istniały na naszych uniwersytetach katedry filozofji polskiej, nie byłoby napewno takich nieporozumień..."

*

W echach prasowych Zjazdu podkreśla się z całym naciskiem zasadnicze przeciwieństwo, jakie zarysowało się między obozem obrońców metafizyki a obozem przedstawicieli dyscyplin formalnych. Prof. Zawirski („Kurjer Poznański" 4.X. b. r. art. „Po krakowskim zjeździe filozoficznym") tak charakteryzuje te dwie grupy:

„Pierwsza, silniejsza, z prof. Łukasiewiczem na czele, zmierzająca do rewizji problemów filozoficznych z punktu widzenia tej ścisłości, do jakiej nas zmusza współczesna logika matematyczna, w myśl hasła rzuconego przed 9 laty na kongresie poprzednim i grupa słabsza, reprezentowana najlepiej przez prof. Ingardena, broniąca stanowiska tradycyjnego w oparciu o system Husserla".

Sformułowanie to niezupełnie ścisłe, gdyż jedynym przedstawicielem husserlizmu (na który się zresztą prawie nie powoływał) był prof. Ingarden, zaś najjaskrawsze przeciwieństwo zaznaczyło się między szkołą logistów a szkołą wrońskistów, przyczem logistów trudno nazwać szkołą filozoficzną sensu stricto. Jak stwierdza J. Stępniewski: „Nie walczyły tu ze sobą szkoły filozoficzne, była to walka szkoły Wrońskiego z likwidatorami filozofji".

W dowcipny i złośliwy sposób omawia te zapędy likwidacyjne logistów „Merkuryusz Polski" (nr. 31. z 4.X. b. r.):

„Logistyka jest czemś w rodzaju maszyny do myślenia systemu Blok-Brun. Tak jak maszyna do liczenia, po nastawieniu odpowiednich liczb i zakręceniu korbką da gotowy wynik, tak logika po ułożeniu zdania i zakręceniu korbką, da gotowy wniosek... Nie ulega wątpliwości, że i logistyka, jak wszystkie dzieła rozumu ludzkiego ma pewne wartości. Ale są to wartości wyłącznie wstępne. Propedeutyczne. Logika, jako przygotowanie do myślenia, może oddać pewne usługi, ale podnoszenie jej do rzędu dyscypliny filozoficznej jedynej i wyłącznej, czynienie z tej czysto mechanicznej *metody* myślenia — jego całej treści — jest oczywistym absurdem, zmierzającym wprost do likwidowania filozofji.

— Gdyby logistyka powstała w czasach Thalesa z Miletu — zauważyła słusznie jedna z uczestniczek kongresu krakowskiego — nie mielibyśmy dziś filozofji".

Podziękować Bogu, na obecnym Zjeździe logistycy byli znacznie mniej agresywni i pewni siebie, niż na poprzednim. Notuje tę zmianę na lepsze prof. Ingarden: „Czas", 2.X. b. r. „Po zjeździe polskich filozofów".

„Tak np. prof. Łukasiewicz stwierdził, że logistyka nie jest filozofją, lecz jedną z nauk szczegółowych i uznał sensowność zagadnień filozoficznych... Znamienne były również zastrzeżenia przeciw nominalizmowi, którym dał wyraz prof. Łukasiewicz .. Drugim znamiennym zjawiskiem było to, że hasła grupy logistycznej natrafiały na dość żywy protest u znacznej ilości uczestników zjazdu... Przez szereg lat trwająca hegemonja logistyki zaczyna się widocznie załamywać".

Prof. Ingarden uważa dorobek logistyki za pożyteczny. „Nie należy tylko przesadzać, nie należy tego, co ma wielkie znaczenie przy kontroli i uzasadnianiu uzyskanych wyników, uważać za środek do wykrywania prawd i rozwiązywania zagadnień filozoficznych".

Nader ostrożne stanowisko zajmuje i prof. Wilkosz (choć należy do grupy logistycznej), mówi bowiem w wywiadzie („Czas", 8.X. b. r.):

„Wtłaczanie nauk o podłożu konkretnem w ramy systemu aksjomatycznego bywa często przedwczesne... Nauki zwracające się do nas o pomoc muszą najpierw osiągnąć formę zmatematyzowaną, a potem dopiero będziemy je mogli zasznurować w hiszpańskie buty logiki... Dla matematyka logika jest tylko instrumentem. Matematyk nie zgodzi się na zbyt dalekie wydłużanie mu jego dowodów za pomocą wstawek natury formalnej".

I jeszcze to: „System aksjomatyczny nie jest systemem filozoficznym. Przy jego pomocy można kontrolować dany układ twierdzeń, wówczas, gdy przybrał on formę zmatematyzowaną".

Nic innego chyba nie twierdzi J. Braun („Prosto z Mostu" nr. 45), gdy pisze:

„Aksjomatyka logiki formalnej jest odbiciem jej bezsilności poznawczej w sferze metafizyki. Inaczej z filozofją. Ta nie odnosi swych twierdzeń do jakiegoś warunku objektywnego, lecz zdąża do *wytworzenia* swego pierwszego i najwyższego aksjomatu. Absolut Wrońskiego, to nie granica rozumu, punkt oparcia o coś zewnętrznego i dalej już niewytłumaczalnego, lecz *wytwór własny* rozumu... Filozofja zaczyna się tam, gdzie kończy się rola obserwacji i systemów dedukcyjnych..."

Sowiety sieją burzę

W doskonale redagowanym tygodniku „Jutro Pracy" w nrze 43 (297) z 25.X. b. r., znajduje się interesujący artykuł Jana Opolskiego p. t. „Sowiety sieją burzę". Zwracamy nań uwagę dlatego, bo od szeregu lat głosimy uporczywie tezę, że Sowiety — wbrew twierdzeniom optymistów — kierują się nie na Daleki Wschód, lecz na Zachód i wciągają konsekwentnie Europę w orbitę swej własnej problematyki politycznej. Od czasu wpuszczenia ich do Genewy, mogą się one poszczycić wielkimi sukcesami w tej dziedzinie. W czasie targów o pakt wschodni pisaliśmy wielokrotnie, że rozpoczął się okres supremacji Rosji czerwonej na kontynencie i wszystkie problemy europejskie, poszły w cień wobec problemu zasadniczego: komunizm - faszyzm. Już to jedno stanowi olbrzymi tryumf ideologiczny bolszewji; cóż dopiero mówić o wciągnięciu w tę grę Francji, Czechosłowacji, Hiszpanji. Jakkolwiek odpór faszyzmu, ruchów nacjonalistycznych wszelkiego typu i kościoła katolickiego jest ogromny, to jednak pozostaje faktem niezbitym, że wola rewolucyjna Kremlu zaciążyła w sposób decydujący na historji Europy, choćby przez to, że podział zasadniczy świata przeprowadza się dziś na podstawie kryterjum: z Moskwą, czy przeciw niej.

Oczywistem jest, że wbrew perfidnej roli „anioła pokoju", Sowiety dążą do wywołania zawieruchy światowej. Wskazuje na to J. Opolski, pisząc o „krucjacie antyfaszystowskiej" i o ustawicznych wysiłkach podzielenia Europy na dwa obozy, między któremi Sowiety sprowokować chcą nowe wojny religijne.

„Nie ulega wątpliwości, że w tych pozornych szaleństwach (takich, jak wystąpienie Sowietów na terenie londyńskich obrad komitetu nieinterwencji), jest bardzo ścisła metoda, zmierzająca do wyraźnego celu. Metoda ustalona już przez Lenina. Celem jej jest rewolucja światowa, którą należałoby sprowokować, choćby przez ogólną zawieruchę wojenną w Europie.

„Nie należy się co do tego łudzić. Był czas kiedy zdawało się, że zainteresowanie Rosji sowieckiej skierowane jest w stronę Dalekiego Wschodu. Ukazało się na ten temat u nas wiele rozważań. Są one już dziś nieaktualne."

„Poranniak" w piętkę goni

Potęgująca się z dnia na dzień akcja antykomunistyczna wywołuje w „Kurjerze Porannym" wyraźne oznaki niepokoju i podrażnienia. Niepokój ten manifestuje się na zewnątrz w wystąpieniach tak obłudnych, jak artykuł wstępny w n-rze z 24. X. b. r., p. t. „Łańcuch głupoty", w którym to artykule organ przyjaciół p. Bluma, przezacnych „dzieci wdowy", próbuje za jednym zamachem ośmieszyć wszystkie elementy antybolszewickie, osłonić Polskie Radjo przed zarzutami ukrytego radykalizmu, a znieważyć „Myśl Polską", czasopismo ostre może i bezkompromisowe, prowadzące jednak akcję pozytywną i twórczą otwierania oczu polskich na imperjalizm sowiecki pod wszelkiemi postaciami.

Artykuł „Poranniaka" skonstruowany jest z aż nazbyt przejrzystą perfidją. Autor jego przeocza jednakowoż to co najważniejsze: oto, że sama możliwość tych oskarżeń o prokomunizm, jest symptomem poważnej choroby, jaka nurtuje Polskę: braku, własnej, głęboko ugruntowanej a uniwersalnej idei. To nie „łańcuch głupoty", lecz raczej łańcuch dezorjentacji ideowej w którym „Kurjer Poranny" stanowi niepośledne ogniwo. Zaś co do „Myśli Polskiej", w którą „Kurjer Poranny" ugodzić chciał szczególnie dotkliwie, to jej ten zarzut dezorjentacji ideowej najmniej dotyczy. Pismo to jest bowiem — w ostatniej zwłaszcza fazie swej ewolucji ideowej — wyrazem zdrowego ruchu odrodzeńczego *nowej generacji* odnajdującej właściwą bazę duchową i słowo wyzwalające misji dziejowej Polski.

Bronię ducha z Elzynoru

(Dokończenie ze str. 3-ciej).

żyńskiego), nie jest znów tak zawiłe. Często ludzie mają przeczucia, sny — które się sprawdzają lub nie — obojętne.

Hamlet nie wie, czy się sprawdzą. Dlatego urządza teatr w teatrze. Sprawdzają się. Wszystko jest w porządku. Zaczynam teraz mieć wątpliwości, czy sprawa ta wogóle jest tak poważna, jak ją p. Niżyński udramatyzował.

Myślę więc, że ta scena z duchem w niczem nie ubliża zasadzie współczesności. Jeśli jako fakt realny dla psychiki, może istnieć, to może być punktem wyjścia dla działania człowieka świadomego, który już ma silne podejrzenia, poczem je świadomie sprawdzi i utrwali. To jest wyzyskanie *przypadku*, które tak często się później w dramacie Hamleta powtarza, jak np. z przybyciem aktorów, jak z uniknięciem zasadzki króla, jak wreszcie z pojedynkiem.

Nic więc nie widzę w tem ubliżającego Hamletowi, którego p. Niżyński chciałby dźwignąć na zbyt wysoki i niepotrzebny koturn — niemal boski, nie zostawiając już miejsca na ów najważniejszy dla nas *dramat ludzki*. Nie widzę też żadnego zawieszenia w próżni.

Pozostałaby jeszcze jedna sprawa.

P. Niżyński twierdzi, że Hamlet stał się właściwie marginesem do obszernych wywodów Wyspiańskiego: metafizycznych, artystycznych i innych. Na to się zgadzam. Dalej: że stosunek jego do Hamleta jest właściwie luźny a o przeróbce Hamleta przez Wyspiańskiego, lub jego spolszczeniu, nie może być mowy. Nie wiem dlaczego? Mam to uzasadnione podejrzenie, że wraz z Bunschem i Goreckim opracowaliśmy pomysł Wyspiańskiego dla sceny. Chyba więc p. Niżyński uważa coś przeciwnego, mianowicie, że praca nasza jest całkowicie nieudana i chybiona. To mu zresztą wolno.

Rozprawa Wyspiańskiego ma się nie mieścić w Hamlecie. Słusznie. Dlatego wzięliśmy z niej to, co się zmieściło w Hamlecie. To było naszym celem. Nawet skreśliliśmy jeszcze z Hamleta i z Wyspiańskiego to, co się w Hamlecie jeszcze mieściło (np. problem dziedzictwa winy — Fortynbras).

Najmniej zrozumiałe wreszcie jest westchnienie p. Niżyńskiego, by całego Hamleta *nagiąć do Wyspiańskiego*. Przecież *zarzuca Wyspiańskiemu błąd zasadniczy* w zachowaniu sceny z duchem, obalający jego zdaniem całą koncepcję dramatu świadomości. Przecież pisze, że o przeróbce Hamleta przez Wyspiańskiego niema mowy, a rozprawa o Hamlecie jest tylko jednym więcej komentarzem do tego dzieła! O co wkońcu chodzi, — temu młodemu *anarchiście?* Czy tylko o wywołanie zamieszania?

Zapowiada on jeszcze, że chciałby powrócić do niewyjaśnionej jego zdaniem śmierci Hamleta!

A bodajże! *Tadeusz Kudliński.*

P. S. Dla porządku wyjaśniam, że odpowiedź powyższą pisałem sam, bez porozumienia się z kolegami: Bunschem i Goreckim, gdyż nie było czasu na to.

Październik 1936.

„Nieskończona jest liczba głupców"

„Infinitus est numerus stultorum" — powiada św. Augustyn. Co się wykłada po sarmacku: „nieskończona jest liczba głupców". Jednocześnie w trzech dziennikach stołecznych, sanacyjnym „Expressie Porannym", endeckim „Warsz. Dzienniku Narodowym", oraz socjalistycznym „Robotniku" — a także w żydowsko-komunistycznych „Wiadomościach Literackich" ukazały się bezmyślne prześmiewki z artykułów filozoficznych, zamieszczonych w „Zecie", w szczególności z art. J. J. Stępniewskiego p. t. „Intellectus Archetypus".

Okazuje się, że głupstwo jest bezpartyjne. Okazuje się też, że plebs umysłowy, nadający wciąż jeszcze ton naszemu życiu kulturalnemu i utrzymujący się akrobatycznemi sztukami na powierzchni, czuje zmierzch bliski swego panowania i nie rozporządzając intelektualnymi środkami obrony, ucieka się do najtrywialniejszej metody: kpinkarstwa. Ciemnota wystawia sama sobie świadectwo. Możemy więc tylko powtórzyć za Wrońskim: „Gdybyż ci biedacy zdawali sobie sprawę, jak wielkie politowanie wzbudza we mnie ten śmiech małp".

W Polsce myśl nigdy nie była w cenie i lada mydłek czynił sobie tytuł do wyższości ze swej żenującej niższości umysłowej. Specjalny jednak typ murzyńskiej bezmyślności wyhodowała Warszawa, jako produkt skojarzenia sarmackiego rumianego kretynizmu z żydowskim sceptycyzmem impotentów intelektualnych, których gruboskórny materjalizm prowadzi do wyjątkowego ogłupienia.

W tym stanie rzeczy nie należałoby nawet wdawać się w rozmówki z tą publicystyczną gawiedzią, gdyby nie obowiązek walki z ciemnotą, wsączaną w mózgi bezkrytycznych czytelników. Dlatego pragniemy wyjaśnić z całą słodyczą, że, jak mówił swego czasu Kant „nie jest potrzebnem, by każdy studjował metafizykę... i że w takim wypadku należy swe zdolności umysłowe skierować na inny przedmiot". Filozofja, podobnie jak matematyka czy logika, (a nawet w jeszcze większej mierze) wymaga gruntownego przygotowania, erudycji i oswojenia z terminologją, choćby najbardziej zawiłą. I tak jak może się zdarzyć, że ktoś — normalny skądinąd — nie wie co to jest sinus i cosinus, a tem bardziej równanie kongruencyjne lub „liczby Bernouilly'ego", tak może się też zdarzyć, że czytelnicy „Expressu Porannego" nie wiedzą, co to jest „filozofja achrematyczna", „architektonika czystych relacyj" lub zgoła „totalność" i „partykularność".

Aby dowieść, że nie trzeba nawet sięgać do filozofji, aby potknąć się o pojęcia i zdania niedostępne dla przeciętnych tępaków, przytoczymy ustęp ze *szkolnego* podręcznika logiki symbolicznej, która — jako nauka przygotowawcza, propedeutyczna, powinna być zrozumiała dla każdego. Otwórzmy skrypt prof. Łukasiewicza na pierwszej lepszej stronie, cytując zdanie wyrwane z całości, jak to uczyniono z artykułem J. Stępniewskiego:

„Przypuśćmy, że pewne wyrażenie postaci „$CpCN\zeta\varepsilon$", gdzie ζ zawiera zmienną równokształtną z „p" i jest postaci „$C\eta\vartheta$" jest najkrótszem wyrażeniem niezależnem; będzie ono zatem postaci $CpCNC\eta\vartheta\varepsilon$"... Z podanych równoważności interferencyjnych wynika, że $CpCN\zeta\varepsilon \sim CpC\eta CN\varepsilon\vartheta$ i $CpCN\zeta\varepsilon \sim CpCN\vartheta\varepsilon$ gdzie wyrażenia interferencyjne równoważne składają się z równej liczby wyrazów."

Prawda, jakie to oczywiste?

No, bo „kwantyfikator ogólny nie jest funktorem, tak jak „C", „A" i t. d. Wyrażenie, w którem bezpośrednio po kwantyfikatorze nie następuje jedna zmienna, lecz jakieś wyrażenie złożone, nie ma dla nas sensu. Tak np. nie ma sensu wyrażenie „ N p C q q ".

Już słyszymy, jak czytelnicy „expresiaka" biją brawo. To przecież jasne, logiczne, napisane językiem dla normalnych ludzi, a nie jakimś tam żargonem filozoficznym. Jakże klasycznie odbija od stylu artykułów „Zetu" takie piękne rozumowanie z podręcznika prof. Kotarbińskiego:

„X jest elementem klasy M-ów" lub „X należy do klasy M-ów", to tyle, co „X jest elementem zbioru wszystkich M-ów", lub „X jest jednym z pośród wszystkich M-ów", co jest równoważne powiedzeniu wprost „X jest elementem zbioru M-ów", a więc „X jest jednym z M-ów", krócej „X jest M-em", a przeto i powiedzeniu „X należy do zbioru M-ów" lub „X jest elementem zbioru M-ów".

To logika. Dla zapoznania czytelników „Wiadomości Lit." ze stylem klasycznym wielkich systemów filozoficznych, radzimy zacytować na chybił trafił niektóre ustępy ze św. Tomasza, Leibniza, Hegla, Schellinga, a na dokładkę i z Marksa, choć to filozof niższego rzędu.

A teraz jeszcze jeden naoczny eksperyment. Bierzemy jakieś zdanie z „Zetu" z art. wstępnego Jerzego Brauna, np.:

„Rozdarta na dwa nienawidzące się odłamy, społeczność polska zużywa energję na bezpłodne walki wewnętrzno - ustrojowe, podczas gdy wskazówka na zegarze jej dziejowych przeznaczeń zbliża się do godziny dwunastej".

Zrozumiał każdy jołop? — Oczywiście.

A teraz ustęp z drukowanego w „Zecie" studjum tegoż J. Brauna p. t. „Krytyka rozumu twórczego":

„Ważnem jest uświadomić tu sobie, że ośrodkowa ta nicość determinacyj, czyli pochód automatyczny ruchu samookreślającego w czasie i przestrzeni, jest właśnie Rzeczywistością (=Absolutem), oglądaną z perspektywy immanentnej chrematyzmu, jako warunek możliwości wszelkiego doświadczenia... Jest ona Rzeczywistością, związkiem organicznym tożsamości bytu i wiedzy, powstaje bowiem z procesu indywidualizowania i integrowania in concreto owej absolutnej powszechności wiedzy wsobnej" it. d.

No, a teraz? Ani w ząb, prawda? A dlaczego, skoro to pisał jeden i ten sam człowiek? Bo co innego publicystyka, a co innego metafizyka, zrozumcie to nasi milusińscy czytelnicy pism codziennych. A już pomiędzy publicystyką typu „ekspresiaka" i „Wiadomości Lit.", a metafizyką czystą, jest przepaść nie do zapełnienia.

ef-ef

Redakcja: Warszawa, ul. Wierzbowa 8, IV p., — Administracja: Chmielna 68 m. 37, tel. 6-61-64. Kraków — Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9.
Redaktor przyjmuje we wtorki i piątki od g. 18 — 19. Prenumerata: kwartalna 3 zł., półroczna 5 zł., roczna 10 zł. P. K. O. Warszawa — Jerzy Braun 153.210
Zakł. Graf. „DRUKPRASA", Warszawa, N. Świat 54, tel. 615-56 i 242-40.